

TYGODNIK ILLUSTROWANY



Nr 125.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 15 lutego 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Jędrzej Załuski (z drzeworytu). — Dawne ubiory i uzbrojenia (drzeworyt) ciąg dalszy. — Kronika tygodniowa. — Do głównego redaktora Tygodnika Ilustrowanego. — Obrazy z Czarnogórze i jego pobrzeży (z trzema drzeworytami) ciąg dalszy. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Widziadło szczęścia, powieść: spółczesna, przez Felicjana, (ciąg dalszy). — Szachy. — Rebus. — Stanisław Proszowiec. — Korrespondencya od redakcyi.

Józef Jędrzej Załuski,

BISKUP KŁOŹSKI.

(Dokończenie.)

Józef oddawna już tęsknił do stanu duchownego i przybrał się w suknie kapłańskie. Stryj Ludwik wezwał go zaraz do siebie i dał mu kanonią płocką i dwie prelatury w dwóch oddzielnych kolegiatach. W pułtuskiej zrobił go archidyakonem, a u św. Michała w Płocku proboszczem. Dat pewnych nie mamy; wiemy to jedynie, że probostwo św. Michała objął Załuski sam osobiście 29 września 1719 roku. Do archidyaconii pułtuskiej przywiązany był obowiązek wizytowania stu czterdziestu kościołów. Młodzieńcowi pilno było zostać coprędzej członkiem czynnym kościoła Chrystusowego. Chociaż dla lat nie mógł się jeszcze wyswięcić, ale obowiązki chciał pełnić i zaraz objeżdżać zaczął kościoły swego archidyaconatu.

Tymczasem brat starszy, Stanisław, kończył u misjonarzy warszawskich swoje duchowne wychowanie, pod dozorem i opieką księdza Śliwickiego. Znakomity to był w owe czasy dygnitarz kościoła polskiego, chociaż tylko wizytator misjonarzy. Zdolności, rozum, nauka, znajomość wielu języków, wyśadyły go nad tłum; ks. Śliwicki był w wielkim świecie, umiał wychodzić z panami, do których pisywał po francuzku; grzeczną ogładą, piękną odzieżą, w ogóle całą powierzchownością, był to ksiądz, jakiego dotąd w Polsce nie widziano. Wiek dawniejszy mógłby się gorszyć z takiej ogłady, ale w połowie panowania Augusta II już nowe wyobrażenia, francuzczyzna, a z nią

modne wychowanie popłacało. Ksiądz Śliwicki, jak później ks. Konarski, był reformatorem w Polsce, na lat kilkadziesiąt jeszcze przed collegium nobilium Konarskiego; Śliwicki u misjonarzy w Warszawie zakładał i utrzymywał collegium nobilium dla młodych księży pańskiego tonu. Bez błogosławieństwa Śliwickiego nic się tu nie odbywało; żaden Sapieha, Massalski, Załuski nie wyswięciłby się wprzód na księdza, gdyby go Śliwicki do duchownego stanu nie przysposobił. Dlatego u misjonarzy niezmierną była zawsze w seminarium liczba panów, i biedny szlachcic chronić się tam musiał pokornie przed wojewodziami, kasztelaniami, przed jasnemi gwiazdami,

co były nadzieją rzeczywospolitej. Ksiądz Śliwicki na wsze strony szeroką, jak minister, prowadził korespondencyą, to z ojcami, stryjami i wujami, to z opiekunami młodych panów które wychowywał. Listy te, pełne wymuskanj grzeczności, z radością wszyscy odbierali; bo jakie w nich prorocтва pochlebne, jakie uwielbienie na widok samej cnoty, pokory, nauki i zacności charakteru! Ludziła się biedna Polska: na sejmach wszyscy sobie w oczy mówili, że są wielkimi mężami w ojczyźnie; w seminarium Śliwickiego sami dojrzewali apostołowie, nauczyciele prawdy, ozdoby i filary kościoła.

Stanisław Załuski wszedł więc do tego seminarium u św. Krzyża w Warszawie, które dopiero zaczynało być sławne. Miał pod opieką Śliwickiego wyuczyć się świętych obzędów i wyćwiczyć się w wymowie kaznodziejskiej. Rok spędził na tej nowej pracy, nareszcie pojechał do Częstochowy, i tam przed cudownym obrazem Najświętszej Panny odbył primicie. (Ksiądz Hawelski, str. 140).

Józef, zwidziwszy znaczną część archidyaconatu, wybierał się na skończenie nauk do Paryża. Jednakże jeszcze na wiosnę 1720 r. bawił w Warszawie, bo to wiemy z pewnością, że znajdował się na obrzędzie oddawania kapelusza kardynalskiego ks. Salerno, która to uroczystość odbyła się u św. Jana 2 kwietnia 1720 (Tekla Podolskiego, t. II, str. 64. Lętowski myli się, idąc za błędnem źródłem, kiedy odnosi to do r. 1719, Katalog biskupów, t. IV, str. 279). Znajdował się podczas tej uroczystości w Warszawie biskup płocki, który potem na ucztę, chcąc uczcić kardynała, sprosił biskupów i senatorów rzeczywospolitej. Tyle srebra błyszczało wtenczas na stole Załuskich, że obecni nie mogli wyjść z podziwienia. (Frieze, De episcopatu kijowiensi, str. 5).

Musiało to być mniej więcej w połowie roku 1720, gdy Załuski wyjechał do Paryża dla teologii. Nie tracił tam darmo czasu, bo słuchał najznakomitszych professorów. W Sorbonie uczył się teologii od księ-

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebral i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 10.

Wiek XIV.

Sprawa przed sądem. Sędzia otoczony rajcami; na lewo oskarżony i niewiasta świadcząca. Rysunek wzięty z legendy o św. Jadwidze. (Dalszy ciąg nastąpi).

za nim, wydawcy przekazali dochód ze sprzedaży owego zbioru na cel ogólniejszy, na poparcie usiłowań kształcącej się młodzieży.

I tu, jak w księdze zbiorowej Wójcickiego, niema artykułów użytkowych, i tu zapomniano o ekonomii politycznej, o kapitałach, procentach i giełdzie. Wiązanka z kwiatów sercach przyjaciół wyrosłych, uczuciem tylko wonieje.

Na czele dość szczupłego działu poezji, kładziemy przesłuchany, jak zwykle, wiersz Deotymy: *Anioł na niebie i szatan na ziemi*. Słaba ręka niewiasty, wytrąca pióro z dłoni mężów, bo ich przewyższa głębokością myśli i cudną grą wyobraźni. W ostatnich czasach poetka, rzucając niedościgłe krainy marzeń i częścię przyglądając się ziemi, odkryła nieznaną dotąd stronę swego potężnego talentu. Chcielibyśmy choć mały wyjątek z powyższego przytoczyć utworu, ale nie zdołaliśmy go wybrać, z krzywdą całości. Niechaj więc sami czytelnicy poszukają w zbiorze pamiątkowym całości i niech ją osadzą.

Jest tu jeszcze kilka innych pięknych poezji, jak: wzniosły hymn *Cantate Domino* Bohdana Zaleskiego; *Z lirą na powrót* Lenartowicza; *Zabłąkana* Zmorskiego; *Rozmowa umarłych* Norwida; *Pokuta Szafranka* Edmunda Chojeckiego; *Pieśń grajków* Prusinowskiego. O każdej byłoby dosyć do powiedzenia, gdybyśmy się nie lękali znudzić naszych czytelników zaledwie długą rozprawą o jednym przedmiocie.

Nie możemy jednak pominąć z utworów prozą wdzięcznego obrazka serbskiego T. T. Jeża: *Orzeł swatem*. Ten świat wpółdziki, a przepelniony życiem serca, zda się że kilka wieków spał skamieniały, i nagle stanął żyw przed ucywilizowaną Europą, która odeń tak daleko naprzód wybiegła. Jeżeli niekiedy słysząc pomiędzy drażliwszymi czytelnikami szemranie przeciw zbytcej jaskrawości szkiców Jeża, to jego talent powieściopisarski tak wybitnie góruje ponad te małe usterki, że z radością witamy każdy utwór wędrowca, i przekonani jesteśmy że większość czytelników naszych zdanie to zupełnie podziela.

Słowem, *Po ziarnku* jest książka, która w każdym księgozbiore miejsce znaleźć powinna.

Z pola literatury, przetrzcmy się w krainę melodyi. Przed niezbyt dawnym czasem zaczęliśmy występować przeciwko zbyt niemu rozszerzaniu się nie muzyki, ale melomanii przesadzonej i głuszącej, którą na chwilę społeczeństwo nasze przejęło, wzięło za prawdziwy artysty, za posłannictwo narodowe, i chciało koniecznie lud nasz hreczkosiejny przerobić na Włochów, czy może Czechów, od bitwy pod Białą górą do zbytku w muzyce rozmiłowanych. Ze jednak ruch ten nienaturalny ustał, tak nagle prawie jak był wywołany, bez niebezpieczeństwa więc dla dobra publicznego, powiedzieć coś o muzyce możemy.

Wiadomo, że w zakresie wychowania młodzieży u nas, jak wszędzie, wchodzi i muzyka. Od licznych nauczycieli zależy wybór sztuk początkowych, dla wprawy w czytanie nut i obeznanie ucznia z taktem. Otóż nauczyciele nasi, nawykli do Czernego i innych kompozytorów zagranicznych, zwykle kupują ich utwory i podają je za pierwszy pokarm młodzieuchnym grajkom. Nieraz żalowaliśmy szczerze, że nie znajdzie się który z naszych kompozytorów, coby dla działu przysposobił strawniejszy, bo rodzimy, pokarm. Niezmiernie nas też ucieszył zbiorek pana Łodwigowskiego, któryśmy po raz pierwszy dziś oglądali. Dwadzieścia cztery melodie zebrane tutaj w formę najprzystępniejszą, tak iż początkujący mogą je wygrać od razu, a wszystkie nacechowane są prostotą i swojskością. Proszę sobie wyobrazić radość dzieci, gdy drobniuchną rączką wygra znaną od kolebki piosenkę: *Chatupeczka niska, Serce nie sługa, Tam na błoni błyszczą kwiecie, Wanda leży w naszej ziemi, Wysła dziewczyna, wysła jedyna, Uciekla mi przepióreczka w proso* i t. p. I wiele, wiele jeszcze innych wspominków lubej młodości, znajduje się w tym *Skarbcu melodii polskich*, którybyśmy radzi widzieli na każdym pulpicie fortepianowym, w miejsce sztajerów, polek i *mein lieber Augustynów* kompozytorów niemieckich.

Pisząc o wydawnictwach, nie możemy pominąć wydawców. Otóż dowiadujemy się że p. Juliusz Dinte, zdolny pracownik księgarni S. Orgelbranda, wkrótce pomnoży ich liczbę, zakładając podobno księgarnię w Kaliszu. Cieszymy się zawsze, ilekroć słyszymy o nowo otwierającej się księgarni, to bowiem świadczy o powiększaniu się potrzeb umysłowych. Warszawa wprawdzie ma ich dosyć, lecz miasta prowincjonalne niezbyt w nie obfitują.

W ostatnich czasach otwarta w Piotrkowie przez p. Marczewskiego, wielką wyrządziła przysługę tamtejszym stronom; obecnie p. Dinte powinienby rozbudzić ruch książkowy w zachodnich stronach królestwa.

Dziś, przy garnięciu się włościom do nauki, przy powiększaniu się liczby szkółek, przy pomnażaniu się liczby czytelników, każda księgarnia jest niezmiernie ułatwieniem i wielką pomocą dla nauczania, dla szerzenia oświaty. W takich nawet miejscach, gdzie księgarnie utrzymać się nie mogą, dobrze byłoby ażeby przy handlach pozakładać małe filie księgarskie, aby włościom chcący nabyć książkę, nie potrzebowali jej szukać aż w mieście gubernialnem. Wydawnictwa prywatne, nie mając tak rozległych stosunków, nigdy księgarń w zupełności zastąpić nie potrafią. Usiłowaniem naszym powinno być stworzenie wśród włościom imalomeszczan nowej klasy czytelników, bo tym tylko sposobem oświata przeniknie aż do głębi mass, tak jak się to stało już w Czechach, Morawach i Szląsku.

Na zakończenie wspomniemy o jednej jeszcze, napozór drobnej, okoliczności. W dziennikach naszych częstokroć napotykamy nazwy miast czysto polskich, przekształcone na niemieckie. W tych dniach właśnie w jednym z nich przemieniono nasz *Odolanów* w Poznańskiem, na *Adelnau*. Rzecz prosta do odgadnięcia, że przyczyną tego jest przekręcanie ich w dziennikach niemieckich. Gazety pruskie zamiast *Międzyrzec*, piszą *Meseritz*, zamiast *Międzychód*, *Birnbaum*, zamiast *Piła*, *Schneidemühle* i t. d. Do nas należy te błędy prostować, a pomijaniem tego nie zatwierdzać cudzoziemskich wymysłów. Podobnie nie zważamy także, tłumacząc z niemieckich gazet, na nazwy miejscowości południowo-słowiańskich. I tak: czytamy zamiast *Kotor*, *Kattaro*, zamiast *Trzebinia*, *Trebinja*; i na to należałoby zwracać uwagę. Nadto często wyrazy utarte wprawdzie w zagranicznym dziennikarstwie, jak: *exequatur*, *chargé d'affaires*, *status quo*, *messaż* i t. p., powinny mieć odpowiednie nazwy polskie, gdyż częstokroć czytelnicy słuchają o nich jak o żelaznym wilku. W doniesieniach także znajdujemy nieraz dziwolagi językowe, np. wino węgierskie sprzedaje się po złp. 40 per butelkę, po dukatów 30 per beczkę.

Trudno wprawdzie, przy ogromnej ich pracy, narzucić dziennikarzom przeglądanie ogłoszeń; korektor przecież powinien na to ściśle uważać, bo za czystość języka zawsze dziennik odpowiada. Spodziewamy się że uwagi te przyjacielskie nikogo nie obrażą; płyną one bowiem z życzliwej chęci zwrócenia większej bacności na ten przedmiot.

Do głównego redaktora Tygodnika Ilustrowanego.

W pełnym treści i wartości artykule swoim p. n. *Pojedynek i jego powściągnięcie*, w Nrze 120 Tygodnika zamieszczonym, wskazałeś, szanowny redaktorze, pomiędzy innemi środkami zapobiegania pojedynkom, ustanowienie sądów honorowych. Jak one przeobrazić w tym względzie mogą, przywiodę tu przykład uderzający.

W roku 1833 mieszkałem w Galicyi na starém Pokuciu, we wsi Żaluzce, w cudnej okolicy nad Prutem położonej, gdzie gościnność i serdeczność tutejszych ziemian, otaczały mnie wspomnieniem czasów staropolskich. Pomiędzy młodem a zamożnemi właścicielami tamecznemi był niejaki p. N., który ufając w majątek, przy braku wychowania, nieprzychylnie o sobie choć zasłużone sądy, przytłumił chęcią środkami gwałtownymi. Nie dawszy żadnych dowodów odwagi, chociaż miał po temu obszerne pole, wyzwał nagle na pojedynek powszechnie szanowanego obywatela, mieszkającego nad Dniestrem, wdowca, ojca licznej rodziny i dzielnego oficera; napisał do niego list obelżywy, w którym, dla zmuszenia go do stanięcia w oznaczonym miejscu, zagroził mu bronią weale nie honorową.

Oburzone tym obywatelstwo dwóch cyrkulów stanisławowskiego i kołomyjskiego, postanowiło zebrać sąd honorowy, dla rozsądzenia tej sprawy, co wszyscy przyjęli jednomyślnie. Na miejsce zebrania przeznaczono miasto *Gwoździec*, dziedzictwo i siedzibę zasłużonej rodziny hr. Dzieduszyckich.

Młody pan N. miał przyjaciół swoich, a pomiędzy tymi jednego z bogatych obywateli, p. O., dawnego urzędnika austriackiego, który już go uważał za przysięgłego zięcia swego. Ten, przerażony usposobieniem obywatelstwa w całej okolicy, które stanowczo obowiązało się słowem wykonać ściśle wyrok sądu honorowego, i jeżeli ten pana N. potępi, zamknąć mu drzwi nazawsze, używał różnych zabiegów w celu zakłęcia burzy, i między innemi przygotował obronę piśmienną na czynione panu N. zarzuty.

Dzień zebrania sądu oznaczono. Całe miasteczko *Gwoździec* napelniało się niesłychanie licznym zjazdem obywatelstwa, z dalekich nawet okolic przybyłego. Znajomi, przyjaciele i sąsiedzi, zaproszeni przez hr. Dzieduszyckiego, przyjmowani byli gościnnie we dwo-

rze; inni mieścili się po domach zajezdnych i mieszczan *Gwoźdzca*.

Stryj pana N., dawny wojskowy z pułku Rzymszczyńskiego, dotknięty położeniem synowca i płamą zagrażającą swemu nazwisku, gorąco wziął tę sprawę do serca. Gdy wyzwany odpisał panu N., że wprzód powinien oczyścić się z zarzutów, zanim otrzyma tak zwaną satysfakcję, rozboleła wojak chciał stanąć sam do pojedynku; ale mu jeden z przyjaciół krok ten odradził, dowiedziawszy że tém sprawę swego synowca nie poprze, ani dobrego nie przywróci mu imienia.

W dniu oznaczonym wybrano sędziów honorowych, którzy jednomyślnie na prezesa zaprosili poważanego gospodarza, hr. Dzieduszyckiego. Wtedy związkami krwi połączone ze stryjem pana N., zgasiły później przedwcześnie poeta Dominik Magnuszewski, stanął przed sądem dla odczytania obrony.

W czasie tego pierwszego posiedzenia, z różnych stron nadeszły dowody obronę czytana niweczące. Przeciw faktom, których wiarygodność nie podlegała zaprzeczeniu, trudno było walczyć.

Sąd honorowy, pojmując dobrze swoje znaczenie, postanowił z całym rygiorem sprawę osądzić i wyrok jakby sąd przysięgłych wydać, powodując się jedynie przekonaniem i sumieniem.

Zarzuty panu N. stawiane były: tchórzostwo, przy niewczesnie teraz wyskakującej junakierii; dalej prześladowanie nieszczęśliwej wdowy, swęj dzierzawczyni, właśnie w chwili gdy jeden syn jej ranny pasował się ze śmiercią, a drugi we Lwowie padł pod razami prostego mordercy. Pokazały się liczne inne jeszcze zarzuty, a ostatnimi z nich były: wyzwanie na pojedynek oficera, syna właśnie tej wdowy, i teraz owego obywatela z nad Dniestru.

Kiedy zebrane grono używało przechadzki w obszernym ogrodzie dworskim, p. N., jak trup błąd, stał w zakątku ogrodu, w towarzystwie stryja swego i pana O. obrońcy.

Dziwne to było widowisko: najbliżsi znajomi oskarżonego usuwali się od niego; ci którzy dawniej przy sutych obiadach wznosili jego toasty, teraz go unikali; poważne tylko obywatelstwo, choć przekonane o jego wykroczeniach i błędach, ukazywało mu współczucie, ale z oświadczeniem z góry, że wyrok sądu z całą ścisłością zostanie wykonany.

Odroczono jeszcze dzień sądu, ażeby obwinionemu dać czas do skuteczniejszej obrony. Rozjechało się całe zebranie, w tém jednak przekonaniu, że nie potępienia pana N. wstrzymać nie zdoła, i że powinien być wygnany z towarzystwa obywatelskiego.

Pomiędzy sędziami był młody przyjaciel stryja oskarżonego, ten sam który go wstrzymał od wyzwania na własną rękę. Stary wojak podał go od siebie; wszyscy więc uważali go za stronnika oskarżonego, dopóki sam pierwszy nie postawił wniosku sądenia sprawy z całym rygiorem, czém przekonał innych że pojmuje dobrze znaczenie i stanowisko sądu honorowego i że nie go nie powstrzyma od wydania wyroku z całą sumiennością.

Do tego to sędziego pan O., widząc że adwokacka obrona była bezskuteczną, przybywa, pada przed nim na kolana i zaklina go żeby ratował młodego N., który w dalszym życiu może jeszcze stać się użytecznym obywatelstwem. Jako ojciec przywiązany, wiedział ile ten wypadek dotknął jego córkę, która rzeczywiście kochała oskarżonego pierwszym uczuciem rozbudzonej miłości.

Przyjaciel stryja, rozrzucony cierpieniem sędziego pana O., podniósł go, uściśkał i przyrzekł, że wszystko zrobi co będzie mógł, lubo nateraz nie widzi jeszcze sposobu żadnego.

Dzień oznaczony na wydanie wyroku, oczekiwany przez całe obywatelstwo z gorączkowym niepokojem, nadszedł wreszcie. Małe miasteczko znów zawrzało nowem, nieznanem mu życiem: wielki ogród dworski roił się przybyłymi gośćmi.

O godzinie dziesiątej rano rozpoczęło posiedzenie: niestety! niepomysłnie dla oskarżonego, bo nowe dowody, niezaprzeczonej autentyczności, złożono przeciw niemu.

Sąd, przesłuchawszy obrońcę i odczytawszy wszystkie nadesłane świadectwa, już za oskarżonym, już przeciw niemu, zadecydował właśnie, że z powodu spóźnionej pory wydanie wyroku na dzień następny odkłada, gdy złożono mu list, pod adresem przydującego nadesłany.

W liście tym szlachetny oficer, wyzwany dawniej przez p. N. na pojedynek i z powodu niestawienia się piśmiennie przez niego zelżony, prosił sądu, ażeby raczył uwzględnić zbyt młody wiek oskarżonego, brak doświadczenia i wychowania domowego; wreszcie kończył oświadczeniem, że przebacząc mu z serca wszystko czém wykroczył przeciwko niemu, pragnąłby aby z grona obywatelskiego nieusunęty,

miął zostawioną sobie możność zasługi w tém gronie i zmazania winy wszelakiej.

Przyjaciół stryja oskarżonego prosił o pozwolenie zabrania z sobą do domu tego listu, z warunkiem złożenia go nazajutrz na stole. Późno wieczorem rozjechali się ci z sędziów, którzy bliżej mieszkali, inni przenocowali w Gwoźdzu, to we dworze, to w miescie.

Stary wojak, stryj pana N., jadąc z zamysłonym swym przyjacielem, słowa nie przemówił, ale był blady, chrząkał, co było u niego oznaką złego humoru, i nieraz łzę ocierał. Przyjaciół przez drogę milczał także; ale stanawszy w domu, odczytał raz jeszcze list oficera, i nagle zabłysła mu myśl szczęśliwa: porwya pióro i kreśli krótkie, energiczne przemówienie za oskarżonym.

Wyszedł z tego punktu, że gdy sąd jednomyślnie postanowił, na jego wniosek, sądenie sprawy z całym rygorem, od tej więc zasady odstąpić nie można i dlatego w obronę się nie wdaje; ale zwraca uwagę sędziów na nierówność walki i sił obustronnych. Naprzeciw bowiem młodego człowieka z zaniedbanym wychowaniem, stają ze skargą: nieszcześliwa wdowa, podwójną przybraną żalobą, obywatel powszechnie szanowany w okolicy, wreszcie mężny i zasłużony oficer. Któżby, przeciw tak przemożnym przeciwnikom stawając, mógł ująć surowości sądu? Za obwinionym przemawia wiek zbyt młody, zaufanie fałszywe w majątek dostatni, wreszcie brak wychowania należytego. Zebranie pierwsze sądu honorowego okazało, że taka instytucja w obywatelstwie błogie wydać może owoce; poparła go opinia powszechna, zajęcie ogólne i pokora winnego; ale należy aby wyrok jego łączył surowość z umiarkowaniem i uwzględnieniem okoliczności.

Nazajutrz, po przeczytaniu tego przemówienia, chwilowe milczenie ogarnęło sędziów; ale niezadługo powstał sędziwy prezes i pierwszy głos zabrał, oświadczając, że godzi się w zupełności na odczytane przemówienie i uważa za rzecz stosowną upraszać sądu honorowego, ażeby surowym napomnieniem skarcił młodego przestępcę, który obrazonych w obec sądu ma przeprosić, nagrozić wdowie wszelkie straty jakie z jego ucisku poniosła, poczem ma być wprowadzony nanowo w grono obywatelskie, dawszy uroczyste zapewnienie, iż postępować od tąd będzie w sposób prawy i uczciwy.

Wszyscy sędziowie jednomyślnie przyklasnęli tej mowie, i postanowiono do księgi protokołów wpisać całe owo przemówienie. Uchwalono także, aby po dopełnionych formalnościach przeprosin, każdy z sędziów, zaczawszy od prezesa, podaniem ręki oskarżonemu i pocałunkiem braterskim, dał hasło obywatelom do zapomnienia jego przekroczeń i uznania że w ich gronie może zająć swoje miejsce.

Niespodziewany obrót całej sprawy, ogromne wrażenie wywarł na całym zebraniu ziemian. Nikt przecież nie szemał: najzaciętsi przeciwnicy obwinionego uznali wyrok za sprawiedliwy i sumienny, a wszyscy w ogóle cieszyli się, że po karze wymierzonej nastąpiło ulaskawienie i przypuszczenie nanowo młodego człowieka do praw obywatelskich.

Obwiniony, który gorączkowo oczekiwał ostatniego ciosu, pozbawiającego go imienia i stanowiska, na wiadomość o wydanym wyroku, oświadczył ze łzami w oczach gotowość spełnienia wszystkich przepisanych warunków.

Wprowadzony przez swego stryja, wszedł blady, ze spuszczeniem oczyma. Obrażeni i wyzwani przez niego rodacy, przyjęli jego uroczyste przeprosiny; następnie podpisał akt, mocą którego zobowiązał się nagrodzić wdowie wszelkie straty poniesione z jego powodu. Wtedy odbyła się scena uroczysta i rzewna. Pierwszy prezes sądu powstał, podał mu rękę i złożył na jego twarzy pocałunek braterski; po nim każdy z sędziów uczynił to samo. Oblicze blade obwinionego, a teraz oczyszczzonego z ciężkich zarzutów, zmieniło się do niepoznania. Sędziwy stryj jego, widząc ochronione imię swoje od niestawy, nie mógł ukryć gorących łez serdecznej radości.

Otóż składam ci, szanowny redaktorze, wierny opis tego jedynego u nas sądu honorowego, którego byłem świadkiem i uczestnikiem. Potężne wrażenie jakie on wywołał, jego powaga uznana przez opinię powszechną, dały rękojmiej, że instytucja podobna, jak dobrze to sam zauważyłeś w swoim artykule, mogłaby silnie wpłynąć na powstrzymanie pojedynków i załagodzenie sporów honorowych, bez ujemy czci i dobrego imienia, których dotąd bronić nieraz musiano, z ofiarą krwi, a czasami i życia. Powstrzymanie to tém bardziej byłoby pożądanem, że, jak wiadomo, w walkach takich zwykle ma przewagę zręczność i krew zimna, częściej podobno będące udziałem junaków napastników, jak niewinnie zaciepionych.

K. W. IV.



WIDOK OGÓLNY MIASTA KOTORU (CATTARO) NA BRZEGACH DALMACYI.

OBRAZY Z CZARNOGÓRZA I JEGO POBRZEŻY.

(Dalszy ciąg.)

Zatoka Kotoru, Kotor i jego obwód.

„Gdybym miała oczy sokolowe
I połotne skrzydła łabędziowe,
Uleciałabym nad Kotor biały!”

wola w jakiejś serbskiej pieśni stęskniona za oddalonym kochankiem dziewczyna...

Gdyby można mieć te pożądane przez nią skrzydła, lecąc wprost przez przepaście góry, byłoby z Dubrownika do Kotoru najwięcej ośmiu mil odległości. Że jednak drogi tej inaczej jak morzem odbywać niepodobna, dzięki różnym skrętom i gzygzakom, statek zrobić jej musi więcej niż dwa razy tyle, zanim u tego ostatniego miasta kotwicę zarzucić zdoła.

Większą połowę tej drogi, to jest aż do samego początku zatoki kotorskiej, płynie się wzdłuż brzegów dawnych posiadłości dubrownickich, kończących się u wniejsia do téjże zatoki wązkim niezmiernie i ostro zakończonym przylądkiem, od słowiańskiej nazwy *ostro*, z włoską *Punta d'Ostro* powszechnie zwanym. Tuż przy nim wązki turecki klinik Sutorina, przytyka do zatoki, przecinając tym sposobem związek lądowy między posiadaniem przez Austryę obwodami Dubrownika i Kotoru. Zresztą całe wybrzeże zatokę tę otaczające, część austriackiej Dalmacyi obecnie stanowią.

Zatoka Kotoru, po włosku *Bocche di Cattaro*, po słowiańsku *Boka* zwana, należy do najbezpieczniejszych i najobronniejszych przystani adryatyckiego morza. Około czterech do pięciu mil w głąb ziemi wchodząca i niemal wszędzie od stu do dwustu stóp głębokości trzymająca, skręca się ona po czterokroć pomiędzy otaczającymi ją brzegami, tworząc w ten sposób niby cztery wielkie stawy, węższymi kanałami z sobą połączone. W najbardziej wsunionym w ląd zakątku

ostatniego z tych stawów leży miasto Kotor, które całe zatocze i okalającemu ją okręgowi nadaje nazwisko.

Podobnie jak Dubrownik, Kotor jest wielce starożytnym miastem, i podobnie początek swój dawniejszej kolonii rzymskiej zawdzięcza. Kolonia ta, *Ascrivium* lub *Ascrovion* zwana, w połowie VII wieku po Chrystusie zburzoną być miała. Ocaleni mieszkańcy, zbudowali następnie, pod osłoną warownego na stromej skale zamku, dzisiejsze miasto. Porfirogenit wspomina o niem pod nazwiskiem *Decatera*, którą to nazwę Palladius Fuscus od spadających ze skał katarakt (*ἀπο τῆ κατάρκτης*) wywodzi.

Okoliczni jednakże mieszkańcy inny nazwie Kotoru nadają początek. Opowiadają oni, że niegdyś po drugiej stronie zatoki, w pobliżu gdzie dzisiaj leży dość znaczna osada Rizań czyli Risano, istniało wielkie miasto tegoż nazwiska, które w morze się zapadło. Wtenczas to począł się zabudowywać terazniejszy Kotor, w miejscu gdzie pierwój tylko stały koszarzy dla pasących się po górach owiec, i od nazwania tych to koszar: *kotora*, miasto nazwisko wziąć miało.

Inna jeszcze legenda serbska, o założeniu Kotoru krążąca, ma na celu wytłumaczyć poetyczno-gminnym sposobem szczególne uposzczenie tego miasta pod względem zdatnej do picia wody. Według niej, potężny serbski car Stefan, zamierzający wybudować tutaj miasto, chciał je z razu pomieścić w jakiejś jaskini, w skał ścianie się znajdującej. Życzliwa Wila odradziła mu to, na terazniejszem miejscu budować je zalecając. Kiedy już miasto stanęło, car wyprawił w niem wielką ucztę, na którą między innemi gośćmi i Wili zaprosić nie zapomniął. Przy stole car się począł przechwalać swém dziełem.

— Gdyby nie moja rada, śliczne byłbyś miasto zbudował, odezwała się na to Wila.

Upokorzony i rozgniewany car, uderzył ją za to po twarzy. Wila pomściła się, dotykając szaleństwem wszystkich biesiadników i zatruwając wszystkie w miescie i w jego okolicy położone zdroje. Car, widząc jakiej

swą popędliwością narobił biedy, dopieroż w prośby. Po części przecież tylko udało mu się przebłagać zagniewaną Wilę. Oblakany biesiadnikom wszystkim przywróciła rozum, ale ze źródeł zatrutych tylko jednemu zdrową powróciła wodę. Tak też Kotor do dziś dnia cierpieć musi za winę swego założyciela.

Ze całą powyższą legendą nie ma w sobie najmniejszego historycznej prawdy cienia, zbyt czynnem byłoby dodawać po tém, cośmy już wspomnieli o założeniu Kotoru, które panowanie cara Stefana serbskiego o kilka wieków wyprzedziło.

Przez długie czasy istnienie tego miasta, zmuszonego o własnych siłach utrzymywać się wśród nawpół dzikich, bitnych a nieprzychylnych sobie i łakomych sąsiadów, było



WIDOK ZATOKI KOTORU (BOCCHÉ DI CATTARO).

jednym ciągiem krwawych walk, klęsk i wysień. Kolejne oddawanie się pod opiekę biorących górę w tych Europy stronach potęg, słabą mu tylko dawało od ciężkich doświadczeń ochronę. Grecy, Serbowie, Węgrzy, Wenecjanie, Bośniacy, wydzielali się sobie naprzemiennie, aż do początku XV wieku, w którym to czasie mieszkańcy, przez dobrowolną umowę, z wenecką rzecząpospolitą się złączyli.

Umowa która Kotor z potężną Wenecją złączyła, zapewniała wprawdzie tej ostatniej prawo mianowania z pomiędzy patrycyuszów weneckich najwyższego w Kotorze rządcę, czyli tak zwanego rektora, i wkładała na protegowane miasto obowiązek pomnażania sił morskich rzecząpospolitej; ale pozostawiała mu nieknięte jego własne instytucje, zarząd cały administracji i finansów, a nawet prawo bicia osobnej monety. To też epoka tego połączenia, które trwało aż do chwili upadku Wenecji, była najświetniejszą w dziejach Kotoru. Należące do niego ponad zatoką posiadłości wynosiły kilkadziesiąt mil kwadratowych powierzchni, z ludnością do trzydziestu tysięcy dochodzącą. Miasto samo wzbogaciło się i powiększyło znakomicie, przyozdobiło i potężnymi obwarowało murami, o które ze wstydem po kilkakroć rozbijały się zamachy tak potężnych nieprzyjaciół, jakimi byli cesarz Fryderyk Rudobrody i groźne swego czasu dla całego chrześcijaństwa tureckie morskie i lądowe siły.

Po upadku Wenecji w r. 1797, Kotor poddał się pod berło Austrii.

W r. 1806 Rosjanie obsadzili miasto i zatokę, i zatrzymali je aż do 12 sierpnia następnego roku, w którym je Francuzom zdali.

Kiedy w r. 1813 pobladła gwiazda Francji, bitni synowie Czarnogóra, stale po stronie nieprzyjaciół jej walczący, mniemali że przyszła chwila owładnięcia tak pożądanego dla nich Kotoru, i podczas gdy Anglicy blokowali od morza, oblegli go od strony lądu. Jakoż, po kilkumiesięcznym oblężeniu, Francuzi ujrzeni się zmuszonymi zdać miasto przez kapitulację w ręce angielskiego admirała Hoste, który je Czarnogórcom odstąpił. Radość jednak tych nowych posiadaczy niedługo trwać miała. W przemagającej sile naciągającej Austriacy, którym, po uporczywej obronie, Czarnogórcy ustąpić musieli. W dniu 19 czerwca 1814 r. generał Milutinowicz obsadził wojskiem cesarskim Kotor, który odtąd pod austriacką pozostaje władzą.

Przed trzynastą wprawdzie laty, wśród powszechnego w Europie całej wstrząśnienia, sen dawniejszej samoistności uśmiechnął się na chwilę mieszkańcom. Ówczesna krótkotrwała rzeczpospolita wenecka, wezwła swych dawnych sojuszników do uchylenia się z pod rządów gabinetu wiedeńskiego i do wstąpienia z nią w związek, ze zniesieniem wszelkich ciężarów, jakie niegdyś związek ten na nich wkładał. Rezolutni Kotorcy, nie dali sobie dwa razy powtarzać tej propozycji, i dzięki brakowi wojsk austriackich w Dalmacji, przez czas jakiś *de facto* cieszyli się złudną swobodą. Ale już w styczniu 1850 r. pułkownik Mamula przybył z dostateczną na uskromienie ich siłą, i położył koniec chwilowemu o dawnym bycie marzeniu.

Takie są treściwie skupione dzieje Kotoru. Poznawszy je, zajmijmy się z kolei nim samym, jako historycznym pomnikiem, i obecnym jego stanem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, d. 29 stycznia 1862 r.

Objawy ruchu w różnych kierunkach, bywają zwykle przedmiotem korespondencji, ależ to *ruchu* który jest już wynikiem życia. Tymczasem gdzie go u nas dzisiaj szukać? Ruch handlowy ogranicza się na potracaniu spokojnych przechodniów na rynku, przez *negocjantów*, żądających gwałtownie zysku na dowozie zboża z komory michałowickiej i barańskiej, i na corocznych dwóch jarmarkach, nie wywołujących nawet korzystnej dla konsumenta konkurencji. Kupcy w ogóle narzekają, a chociaż to zwykła ich i stara piosnka, jednak tą razą harmoniuje ze śpiewkami wszystkich dzisiaj powszechnie. Księgarze nasi i drukarze podobnie, jakkolwiek nigdy nie byli przedsiębiorczego ducha, bojąc się podjąć choćby najpotrzebniejszego wydawnictwa, dzisiaj wątpimy, czyby nawet mocą galwanizmu zadrgnęli. Ani jednego prawie poważniejszego dzieła Ale nie, mylimy się: pan Wywialkowski, drukarz, zapowiedział programem „Ruch literacki“, mający być niby krytyką poważną nietylko wszystkich płodów pióra, ale jeszcze dłuta i pędzla. Na nieszczęście sam już program dosyć niezro-

zumiał wyrazić czego chce wydawca. Że chce dobrze, nikt o tem nie wątpi; ale czy to tak łatwem będzie do wykonania, powątpiewać potrzeba. Dawnoby nam przydała się poważna, bezstronna, nad każdym wyszłym utworem czuwająca krytyka; podniecałaby ona piszących, obnażając zarazem ogół z estetycznym i naukowym światem, i dzisiaj pismo ten cel mające, niezawodnie zyskałoby uznanie; ale do tego potrzeba sił wielkich, ludzi wytrawnych i wszechstronnie wykształconych, których ani program nie zapowiedział, ani podstawiając za redaktora tego samego p. Wywialkowskiego, otuchy nawet w tym względzie dać nie mógł. Nikomu bowiem dotychczas p. Wywialkowski z jakichkolwiek prac naukowych nie jest znany, co i sam zapewne wziąć musiał na uwagę, gdyż 1 stycznia już minął, a żaden poszyt „Ruchu literackiego“ jeszcze się nie ukazał. W jego to drukarni wyszły: „Poezye JK. Turskiego“, w jednym tomiku; są tam udatne wierszyki, z większych zaś „Gordyan“ poemat. O tym ostatnim powtórzyć trzeba zdanie Dziennika literackiego lwowskiego, że tendencya pochłania poezją; z drobnych odznaczają się szczególnie „Pieśni podśluchane u ludu.“

Lwów za to znakomitemi dziełami zapełnia niedobór krakowski. Szajnochy wyszedł świeżo tom IV Jadwigi i Jagielly, pełen zwykłych temu autorowi głębokich poglądów i nowych nieznanych światel dziejowych. Wyszedł równie tom pierwszy „Dziejów Polski“ J. Szujskiego. Dzieło to, przystępne ceną, według planu na 4 tomy rozłożone, ma obejmować dzieje Polski aż do dni naszych. Trafny bardzo jest podział na doby, mianowicie: doba 1 Polska przedchrześcijańska; doba 2 Polska chrześcijańska; doba 3 Polska pod panowaniem Jagiellonów 1386—1572 r.; doba IV Polska pod panowaniem królów wolno obranych; doba 5 Polska od r. 1794/5 do dni naszych. Ostatnia doba mieści w sobie 4 okresy, który to podział, pierwszy raz w traktowaniu dziejów naszych napotykanym, tem więcej ogół zaciekawia, iż czasy od r. 1830—1846 dotąd należycie nie były rozświetlone. Tom I, który mamy pod ręką, pisany w duchu syntetycznym, erudycyją i zręcznym zestawianiem najgłówniejszych źródeł historycznych, robi nadzieję bardzo pożytecznej i poważnej historii, lecz przystępny jest tylko dla dojrzałej młodzieży. Słyszymy że już tom drugi jest na ukończeniu; tak więc cała ta obszerna praca ukazałaby się w 4 tomach z końcem roku 1862. Nakładcą jest Karol Wild we Lwowie.

Z pism peryodycznych, oprócz „Czasu“ i „Ogniska“ ukazującego się teraz w odcinku, wychodzi tu „Nie-wiasta“, której istnienie już 6 trwa kwartałów. Trzyma się ona raz wytkniętego programu, starając się mu jaknajlepiej odpowiedzieć doboorem artykułów. Obecnie drukuje się w niej „Domna Rozanda“, szkic historyczny K. Szajnochy, a po ukończeniu tegoż, ukazuje się monografia J. Szujskiego p. n. „Żony Zygmunta Augusta“. Pani J. Goczałkowska zaczęła z d. 15 stycznia b. r. wydawać pismo p. t. „Wieniec“. Ma to być dwutygodnik literacki, a mieścić w sobie będzie artykuły powieściowo-nauczające, bo udzielona koncesya kwestyj socyalnych, religijnych i politycznych dotykać nie dozwoliła. „Lubo potrzeba jednego pisma więcej, w takim mieście jak Kraków, nie była tak gwałtowną, jednak może i ono z czasem stać się pożytecznym; idzie tylko o to, że ani z tytułu zbyt elastycznego, ani z programu zbyt wiktającego jedno z drugim, wiedzieć nie można, jakiego to rodzaju właściwie dziennik ten być ma, czy przeważnie literacki, czy pleci pięknej wyłącznie poświęcony. To ostatnie pomyśleć trzeba, czytając w zapowiedzeniu że wzorki i hafty dołączane będą. Program obiecuje nadto „Polskę w obrazach“; lecz pierwszy numer, dając pod tym tytułem bardzo pobieżny obraz Krakowa i jego główniejszych gmachów, wcale nie dopełnia przyrzeczenia; czekajmy jednak, może to później nastąpi. Jest dalej powiastka „Noemi Izraelitka“, której ciąg dalszy ma nastąpić—bajka króla Jana przez L. S., krytyka teatralna, przeglądy dzieł i opisy krajów i haftów.

Oto i wszystko z dziedziny literackiej. Ruch towarzyski, który się tu od kilku lat na tworzeniu koterij i koteryjek, często niezbyt popularnych, ogranicza, ożywia się jedynie teatrem, bo o balach i innych festynach karnawałowych nie słychać.

Teatr funkcjonuje trzy razy na tydzień z holenderską regularnością; szkoda tylko że ta właśnie holenderska regularność nie da mu często odetchnąć artystycznym powietrzem. Przesuwają się nam przed oczami, jak w kaleidoskopie, komedye, komedijki, dramata, nawet i tragedye, a biedni artyści najsprzeczniesze z sobą odgrywać muszą role. Takie przeczucie się nagle (niestety z lokalnych powodów konieczne) z jednego charakteru w drugi, nie daje im nigdy dosyć czasu zastanowić się nad którymkolwiek.

Nie można jednak zamileć o pracy i talencie niektórych, byle tylko, jakieś tego już często świadkami byli, talent ten nie przeszedł w zarożumiałość, a praca w pozytywkowe wycucanie się roli. Zdarza się bowiem, że wielu z oddających się temu trudnemu zawodowi nie pojmuje lub nie chce pojmować, iż praca artysty dramatycznego polega na kształceniu się wszechstronnem, obejmującym w sobie, oprócz estetycznych, historycznych, psychologicznych i mimiznych, jeszcze wiele innych pozornie drobnostkowych, a w rzeczy nieodzownych wiadomości. *Vita brevis, ars longa!* Do tych zdolniejszych policzamy: p. p. Wolskiego, Bendę, Królikowskiego, panie Biedrońską i Hoffman. Obecnie występuje w gościnnych rolach pani Miłaszewska, którą bardzo pochlebnie z dawnych jej tutaj występów znano; w kilku sztukach, mianowicie w *Adryanie Lecouvreur*, dowiodła że posiada znaczny zasób doświadczenia scenicznego i wiele biegłości artystycznej; nie wszędzie jednak, zwłaszcza w mniej efektownych, a jednak do całości niezbędnych scenach, pozostała wierną prawdzie życiowej.

Z Galicji.

Rok 1862 smutno rozpoczynamy. Grono literackie utraciło jednego z najzaciewniejszych pracowników na niwie ojczystej. *Aleksander Batowski* zmarł dnia 16 stycznia, w majątności swej Dorosławie przy Kulikowie pod Lwowem, w wieku lat 61. Od młodości brał we wszystkim udział, co znaczne i szlachetne. Dziedzic znacznego majątku, bezżenny, poświęcał cały żywot swój sprawom publicznym, zbieraniu ksiąg i rycin i pracom literackim. Zbiór rycin w liczbie 15,000, i zbiór biblioteki odnowskiej, obejmujący 4,000 dzieł i pism, będące dziś własnością hr. Wiktora Baworowskiego, są owocem starań jego. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności nadwreżył majątność jego; na dobrach zaczęły ciążyć wierzytelności coraz liczniejsze, weksle lichwiarskie nawidzały spokojne mieszkanie zacnego męża, a za niemi zjawiały się i dalsze skutki, aż w końcu wystawiono dobra na sprzedaż publiczną. Z chwilą wystawienia, zmarł w nędzy *Aleksander Batowski*; troska pieniężna przyczyniła się niewątpliwie do choroby jego i zgonu. Był on średniego wzrostu, błądy i szczupły, chorał na nogę; w obejściu nader uprzejmy i zachęcający, żywo interesujący się sprawą publiczną, chętnie udzielający rad i objaśnień, młodszemu pokoleniu życzliwy. Przez wiele lat mieszkając u Wiktora hr. Baworowskiego, był niejako jego przewodnikiem w pracach literackich, kierował pierwszymi jego krokami i rozbudził w nim zamiłowanie do ojczystej literatury, do zakładania biblioteki zaopatrzonej głównie w rękopisma. Batowski niewiele drukował, więcej zostawił prac rękopiśmiennych. Głównie go zajmowały rękopisma biblioteki Ossolińskich; przejrzał on wszystkie i opisał je dokładnie w pięćdziesięciu przeszło tomach. Pracował nad obszernym żywotem Długosza, który miał być umieszczony w wydaniu hrabiego Przeździeckiego, i ułożył obszerną biografię alchemika Sędziwoja, opartą na nieznanym źródłach.

Prace jego drukowane są: *Mowa miana na zgro-madzeniu przedsejmowem*, Lwów 1848 r., w 8ce, str. 24. *Odpis na zarzut Kaźmirza Stadnickiego*, Lwów 1853. *Rajnold Heidenstein i Franciszek Bohomolec*, Lwów 1854, str. 95. Niektóre rękopisma księgozbioru Zakładu naukowego imienia Ossolińskich opisał, tudzież wiadomość o ich autorach podał, Lwów 1844 r. str. 401. *Sprawa z poselstwa Marcina Kromera do Ferdynanda cesarza w latach 1558 do 1563*, Lwów 1853, str. 59. *Wiadomość o życiu i pismach Walentego Skorochocha Majewskiego*, 1860 r. *Katalog biblioteki odnowskiej*, Lwów 1852, str. 212. Wydał Żurkowskiego: żywot Tomasza Zamojskiego, 1860 r. Zebrańnych przezeń materyałów ułożył Henryk Szmitt dzieło pod tytułem: *Rokosz Zebrzydowski*. Zasiłał czasopisma: *Pamiętnik Lwowski* 1817 r., *Czasopismo biblioteki Ossolińskich* i *Dziennik literacki*. *Szczygielskiego* Tyneca, poprawiwszy je i uzupełniwszy, miał drukować. Dziwić się trzeba że ci, którzy bliżej otaczali zacnego męża, dopuścili, iżby znękany i opuszczony, umierał w domku młynarza. Słychać że hr. Baworowski zamierza drukiem ogłosić liczne prace po nim pozostałe.

Jednocześnie z Batowskim, umarł we Lwowie d. 16 stycznia *Dyonizy Zabrzycycki*, urodzony 1778 r., liczył zatem lat 84. Pogrzeb jego odbył się cicho. Nawet ci których był głównym wyobraźcą, nader nielicznie towarzyszyli konduktowi. *Zabrzycycki* pierwsiastkowo, póki bawił się gospodarką, pisywał tylko po polsku, i zasiłał od r. 1812 *Gazetę Lwowską* artykułami rolniczymi. Wydał też dziełka: *Nauka robienia i ustanowienia tak zwanych Tholardowskich konduktorów słomianych od piorunów i gradu*, z niemiec-

kiego, Lwów 1825 r., str. 22. *O uprawie koniczyzny, rada dla pospolitego rolnika*, Lwów 1821 r., str. 24. *Uprawa lnu, rzecz dla galicyjskich gospodarzy*, Lwów 1829 r., str. 39. *Agronomia, przekład z Jana Burgera*, Przemyśl 1821 r., str. 133. Toż pod tytułem *Nauka ekonomii*, Lwów 1822. Przeniósłszy się do Lwowa, oddał się poszukiwaniom historycznym. Brak odpowiedniego umysłowego wykształcenia i inne okoliczności, skrzywiły jego pogląd na dzieje; wyszukiwał ujemną stronę, tam gdzie jej nie było, i z wolna przeobraził się w pisarza stronnictwa, wbrew prawdzie historycznej. Prace jego w tym kierunku są: *Die Stauropigianische griechisch-katholische Kirche und das mit ihr vereinigte Institut in Lemberg*. Wiedeń 1830 r. (z *Neues Archiv für Geschichte*). *Historyczne badania o drukarniach rusko-słowiańskich w Galicyi*. Lwów 1836 r., str. 90. *Kronika miasta Lwowa* (z dedykacją Sacherowi, dyrektorowi policyi) Lwów 1844 r., w 8ce, str. 492. *Nekrolog des hochgeb. und hochwürdig. Herrn Michael Harasiewicz, Freiherr von Neustern, Erzpriester i t. d.* Wiedeń 1836 r. str. 41 (oddruk z *Wiener Zeitung*). *Rys do historii narodu ruskiego w Galicyi i hierarchii cerkiewnej w témże królestwie, od zaprowadzenia chrześcijaństwa, aż do opanowania Rusi Czerwonej przez Kazimirza W.*, od r. 988 do r. 1340. Lwów 1837 r., str. 67 i 22. *Istoria drewniaho halicko-ruskiego kniaźstwa, z prilożeniem rodostownej kartyny*. Części IV, str. 6, 210, 139, 314. Trzy pierwsze części dochodzą do r. 1337. Za prace swoje historyczne otrzymał order zagraniczny, właściwie, jak głosiły pisma, dlatego, że pierwszy zaczął pisać po russo-rutenisku, czyli wprowadził język rossyjski do dyalektu książkowego rusińskiego. Był czynnym członkiem akademii petersburskiej i dostarczył tjeż w r. 1856 słownika maoruskiego, zebranego przez profesora Głowackiego, piszącego się Hołowackij, litery A i B. Zubrzycki był przez pewien czas współpracownikiem *Rozmaitości lwowskich*. Umieścił tam rozprawki: *Rozprawa za pańszczyzną*, pisana r. 1819 w Ruszelcach, z Maksyma Aureliusza (r. 1820). O cenie zboża w Galicyi i bilu zbożowym w Anglii (r. 1821). O cerkwi stauropigianiskiej we Lwowie (r. 1831). Ułamek z kroniki miasta Lwowa z r. 1405 do 1705 (r. 1841) (1844). Innocenty Kulczycki metropolita (r. 1844). O Czuwasach i Czeremisach w gubernii kazańskiej, z rossyjskiego (r. 1841). Jundza, powieść z zossyjskiego (r. 1844). Relacja o zjeździe Augusta III i cara Piotra r. 1701, z manuskryptu (r. 1844). Książd Matew apostoł wstrzeźliwości (r. 1844). Wiadomość o bibliotece remskiej i ostrimirowskiej (r. 1845). Prace historyczne Zubrzyckiego nie tylko krytyka polska potępiała, mianowicie Biblioteka warszawska (r. 1844, I) ale i austriacki referent—krytyk Kossak potępił najważniejsze dzieło: *Istoria h. rus. kniaźstwa*, zarzucając mu złą dążność i styl nie rusiński. (*Oesterreichische Blätter* 1853, N. 20). Ułamek z kroniki ruskiej jest także umieszczony w Bibliotece warszawskiej 1844, III. Drobniejsze rozprawki umieszczał w *Lwowianinie* r. 1836 i 1844.

W dniu 6 stycznia 1862 r. umarł Hyacynt Łobazewski, profesor i dyrektor ogrodu botanicznego, mając 46 lat. Był to mąż niemalże erudyty, prawego charakteru, ale nieskory do pisania. Piśmiennictwo nasze nie skorzystało z naukowości jego; co najlepsze, to pisał po łacinie, uważając język ten za właściwy w naukach specjalnych. Za jego poradą podobno profesor Nowicki wydał po łacinie dziełko o *motylach*, lubo był nakładca chętny, ale na dzieło po polsku. Mało obznajmiony z rozwojem nauk ścisłych u nas, miał przekonanie iż uczonej tylko neutralnym a wszystkim zrozumiałym językiem do uczonych Europejczyków przemawiać. Professor Nowicki myłopy powinien przemawiać. Professor Nowicki myłopy poszedł drogą, bo krajowi się nie przysłużył, a uczeni obcy, postronni, mają dzieł w podobnym rodzaju nazbyt wiele, więc nie potrzebują zwracać uwagi na to co u nas się drukuje. Professor Łobazewski jest odkrywca kilku owadów, przezwanych jego imieniem. Wydał on dziełko: *Muscorum frondosorum species novas halicienses* (w *Naturwiss. Abhandl.* Wien 1847, I B.). *Musci hypnoidei Haliciae rariores*, 1849. Lwów w 4ce. *Wohlmeinung der kk. galiz. Landwirtschafts Gesellschaft über die Forstschule*. Lwów 1850 str. 49. Toż po polsku: *Zdanie towarz. gospodar. o zaprojektowanej przez ministerstwo rolnictwa szkole leśniczkiej dla Galicyi*, Lwów 1850, str. 45. *Pojęcie geografii roślin i rzut oka na roślinność kuli ziemskiej*, Lwów 1849, str. 12.

Z nowości literackich najważniejszą jest dzieło wydane przez Józefa Supińskiego, p. t. *Szkota polska gospodarstwa społecznego*, z godłem: *Narody nieumiejące pracować i oszczędzać, zniknąć muszą z powierzchni ziemi* (J. B. Say), Lwów 1862, w 8ce, str. 455, nakład Kajetana Jabłońskiego. Autor wydał przed rokiem dzieło *Myśl ogólna fizjologii powszechnej*, będące

przygotowane z zastosowaniem nowej teorii ekonomicznej do wszechświata, który poddał pod stałe prawidła ekonomii. Była to teoretyczna myśl, więc fantazja, niż system ścisłej logiki, dlatego spotkały ją równe zarzuty jako i pochwały. W obecnym dziele schodzi autor na ziemię ojczystą, i na podwalinie wyrazów: *praca i oszczędność*, przedstawia jasno, logicznie, zrozumiale, najpoprawniejszym stylem, najprostsze ekonomiczne prawdy, ujęte w nowy system i oryginalną teorią, prawdy dążące wyłącznie ku wskazaniu narodowi, na czem jego siła polega, jak ma odzyskać dobrobyt i siłę materialną, idącą ręką w rękę z siłą duchową, a które jedna bez drugiej istnieć nie mogą. Udowadnia on, że tylko za pokrzepieniem sił wewnętrznych, za podźwignięciem rolnictwa, handlu i przemysłu, może kraj odzyskać znaczenie moralne i siłę moralną, inaczej, upadając materialnie czyli fizycznie, tém samem z wolna obumiera. Kilka nowych wyrazów szczęśliwie stworzonych wprowadził tutaj. Polscyżna przypomina najlepszych stylistów; do wyjątków należy zablakanie się jakiego zwrotu przypominającego odczytanie się w dziełach francuskich ekonomistów. Prawdziwie przysłużył się wydawca Kajetan Jabłoński światu piśmiennicemu tak pięknym nakładem, i życzyć sobie należy, aby i dalsze tomy wyszły corychlej. W następnych tomach zapowiada uczonej autor wykład o handlu, cłach, przemyśle i t. d.

O innych nowościach nie słyhać. Czasopismo: *Czytelnia dla młodzieży* przestało wychodzić, natomiast wychodzi w Krakowie pismo dla młodzieży płci żeńskiej p. t. *Wieniec*, pod redakcją Julii Goczałkowskiej, byłej redaktorki *Wianków*, autorki *Grammatyki polskiej*, i pod współredakcją Gustawa Czernickiego. Antoni Kostecki, zbierający materiały do dwutomowego dzieła p. t. *Cmentarz krakowski*, kończy obecnie druk dziełka o 7 do 8 arkuszach, p. t. O zabezpieczeniach czyli assekuracjach w ogóle, a w szczególności o zabezpieczeniach w naszym kraju, Kraków 1862 (odbitcie w 2000 egz. z Tygodn. roln. przemysłowego). Gustaw Czernicki wydał przekład *Campana Maksyma*: *Garibaldeggo wyprawa do Sycylii i Neapolu*, (odbitcie w 300 egz. z feliet. *Czasu*), Kraków 1862, w 8ce, str. 245, z portretem Garibaldeggo. Z felietonu *Czasu* odbito także Lud. Bignon Polska w r. 1811 i 1813, pamiętniki dyplomaty o księstwie warszawskim. Moszczański Karol wydał: *Wody iwonickie*, sprawozdanie z r. 1861, Kraków 1862, druk *Czasu*, str. 47. Kołodziejski Wincenty: *Najnowszy projekt do statutu organicznego dla stowarzyszenia cieślińskiego w Krakowie*, do ustawy przemysłowej z dnia 20 grudnia 1859 r., do zwyczajów miejscowych, wiekami uświęconych, do obecnych czasów i wymagań zastosowany, Kraków 1862, w 8ce, str. 54, druk *Czasu*. Słeczkowski Marcelli: *Wiadomości niektóre do dzieł kościoła katolickiego w polsko-rossyjskich prowincjach, od rozbioru Polski, aż do najnowszych czasów*. Jasło 1861, druk Stoegera. Dzieło to streszcza wiadomości zebrane w dziełach ks. Szantyrza, Lescoera i Morella, uzupełniając nowsze czasy. Trzaskowski Bronisław wydał: *Grammatykę języka polskiego*, na podstawie fizjologicznej, porównawczej i historycznej, przez dyrektora gimn. Drohowyżkiego. Część I gloskownia, Sambor 1861, nakł. autora, druk Pobudkiewicz, w 8ce, str. 76. W Wiedniu wyszedł w odbitce poemat Morgenbessera Aleksandra, notaryusza, p. t. *Obrońca Sokółowa (z drzeworytami)*, w 8ce, str. 153. Poemat ten niewart czytania, był drukowany w *Nowinach* r. 1854 i osobno odbity, potem roku 1861 w *Postępie* i znowu odbity, zatem mamy cztery edycje tej miernoty.

We Lwowie bawi obecnie Józef Szujski, zbierając materiały i pracując nad dalszemi tomami rozpoczętej historii polskiej. Biblioteka Ossolińskich dostarcza mu ródreł rękopiśmiennych, których biblioteka krakowska dostarczyć nie może, albowiem w tej nie są one uporządkowane, i dlatego wyszedł zakaz użyczenia rękopisów nawet w murach biblioteki krakowskiej. Przy końcu stycznia bawił we Lwowie Antoni Kociński, gdzie złożył pierwszy zeszyt zbioru pieśni: *Perwiju sotniu dum i pisen ruskocho narodu, na iiden holos, z fortepianom i zdawajennych*, Kijów 1862 roku, (tekst i nuty), druk w Lipsku. Wychodzi podwójną edycją, fortepianową i zwyczajną; tekst, łacińskimi i ruskiemi czcionkami, podaje pieśni i warianty, zupełnie tak samo jak zbiór Oskara Kolberga. Będzie to więc ważne i sumienne ułożone dzieło. Cena niezmiernie tania, bo zeszyt spory z nutami edycyi niefortepianowej, daje po 8 srebrnych groszy, zatem po 4 złp. 18 gr. pol. Taniiej nie można żądać. Pierwsze sześć zeszytów wyjdą w miesiącu lutym.

Z dziedziny teatralnej doniesie wypada, iż w styczniu d. 27 grano we Lwowie *Maryą Stuart*, trage-

dyą Juliusza Słowackiego. Sztuka się podobała, teatr był przepelniony, ale siły artystów, będące (mianowicie męskie personele) dość mierne, nie podobały wielkości dzieła. Wystawa również niedbała, jak zwyczajnie tu bywa.

WIDZIAŁO SZCZĘŚCIA,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA SPÓŁCZESNEGO.

przez
FELICYANA.

(Dalszy ciąg).

II.

Pan Ignacy.

W szyneczku pod karpim, wesoło już dawno nie było. Nasz obdarty nieznajomy siedzi na ławie za stołem, z zaczerwienionemi policzkami i czerwonym nosem, czapka ledwie się trzyma na tyle głowy, rozprawia za czterech, pije za dziesięciu, bije w stół pięścią i hałasuje za cały regiment. Ma mnóstwo najszerszych przyjaciół.—Precz stare Damony i Pyładesy!—tamtych potrzeba było okupywać życiem, dziś dostaniesz przyjaciela za kieliszek gorzałki....

— Hej panno! woła przewodzca przyjacielskiej zgrai; wódki! tu! coprzedź! bo niema czasu, a w gardle schnie, aż niemiło.

— A ma on czém placić? szepcze dziewczyna.

— Ma, widziałam u niego dukata.

Bajowy jegomość dosłyszał zapytania szynkarki.

— Pieniędzy? zawołał rzucając w górę dukata, który z łechcącym ucho brzękiem upadł przed nim na stole, co ty się pytasz? Czy nie widzisz ilu ja mam przyjaciół? No, no, potrafiłbym ja kupić i ciebie, moja niegdys może ładna — i wiele, wiele, całą kopę tobie podobnych. Ale ja wolę wódkę. Wódki dawaj! czy słyszysz?

Przyniesiono wódkę. Piją i rozprawiają.

— Ten kochany pan Ignacy! on dziś w dobrym humorze.

— Ale zkąd tobie taka fortuna, panie Ignacy?

— Zkąd? Oto pożyczylem u mego dawnego znajomego, pewnego sobie hrabiego. Spotkałem go przypadkiem, po dawnym niewidzeniu. Wielki to był niegdys przyjaciel mojego syna Juliana.

— Hrabia? przyjaciel twojego syna?

— Tak, tak, przyjaciel diabła wart, jak i wy wszyscy.

— Ale hrabia...

— No i cóż to tak wielkiego hrabia! Wam głupcom, to się zaraz zdaje, że to już wyżej jak człowiek. Wielka rzecz! ja sam potrafiłbym być hrabią. Trzymałbym głowę jak może być najwyżej, a nos wyżej jeszcze jak głowę, chorowałbym na nerwy i konie wyścigowe, włóczyłbym się bez ustanku po zagranicy, ziewałbym jak się należy i uwodził cudze kochanki i żony.

— Dlaczego nie? Mogłbyś być śmiało hrabią, panie Ignacy. Umiesz przecie po francuzku.

— Milcz głupcze. Nienawidzę pochlebców — nie jestem jeszcze hrabią.

— Dajcie mu pokój, kumie Kacprze. To jak to było z tym przyjacielem waszego syna, panie Ignacy?

— Powtarzam ci, że był takim przyjacielem, jak wy wszyscy—przyjaciele kieliszkow. Et! Wielki to pan teraz, bardzo bogaty; ale wprzód nie miał nic tylko goły tytuł. A jednak dziś, pomimo całego swego państwa, musi on mnie przyjąć u siebie—mnie obdartego—na swoich złoczonych pokojach.

— Ho! ho! przedź w przedpokoju.

Zgraja przyjaciół dzieliła się widocznie na potakujących i wątpiących. Potakujący łykali tylko w milczeniu, zdradzając popęd wyłączający u nich wszelkie inne względy; wątpiący zaś, zdawali się być więcej chciwi ubawienia się, jak upicia kosztem pana Ignacego.

— W pokojach—mówię ci, barania głowo. No, wy tego nie wiecie, ale... są między mną i nim....

I nie dokończywszy, zapił z kwarty.

— On przyjechał pewnie z dóbr swoich, prawil dalej smakując, albo z zagranicy; bo go już dawno bardzo nie widziałem nigdzie. Dziś spotkałem go przypadkiem, (przy tych wyrazach rozparł się znacząco)—no—i rozmawiałem z nim—i prosił mnie do siebie. Oto jego adres.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni mały szpargał zapisany ołówkiem. Dobywszy go, przymrużył oczy i czytał z ukosa, trzymając o dwa łokcie od siebie:

— Ulica—ulica Długa, Nr 528.

— Ha! ha! ha! Nr 528? Niema takiego numeru na ulicy Długiej.

— Jakto?

— A tak to. Toż to w moim cyrkule, jabym wiedział.

Nie było żadnej wątpliwości. Mówiący to był po-
licyantem z cyrkulu.

Pan Ignacy zbladł, gdzie jeszcze można było zble-
dnąć, a posiniał na czerwonościach.

— Jakto? niema? To mo-
że dwieście i coś tam. Dwie-
ście—czy słyszycie?

Zanoszono się od śmiechu.
— Dwieście, to na Mosto-
wój, albo na Freta. Właśnie-
by tam hrabiowie mieszkali.

Pan Ignacy zgrzytnął, aż
dreszcz przebiegł po wszyst-
kich obecnych, potem porwał
kwartę i pił bez pamięci.

— Ten łotr—oszukał mię,
jęknął, padając głową na roz-
łożone na stole ręce; ale ja
go znajde, choćby w piekle!

— A jak też on pójdzie
do nieba?

— Biedny pan Ignacy! A
takby mu było przystojnie na
pańskich pokojach. On sam
przecież potrafiłby być hrabią.

— Eh! głupstwo! Wię prze-
cie że on w Warszawie, to go
znajdzie łatwo.

— W Warszawie, i to za-
pewne na pierwszym piętrze.
Ha! ha! ha!

Pan Ignacy podniósł się i
oparł o ścianę głowę, co mu
już ciężać zaczynała.

— Widzicie, rzekł z nieja-
ką trudnością, mój syn—mój
syn Julian—no!—tak tedy
mój syn Julian był kochan-
kiem jego żony—to jest—ale
ona jeszcze nie była jego żo-
ną—chciałem powiedzieć hra-
brabiego. Otóż tedy...

— Opowiedz nam to—opo-
więdz nam to, panie Ignacy!
wołano wesoło.

— O czymże ja mówiłem?

— Jak twój syn był ko-
chankiem pani hrabiny.

— Cicho! ja wiem dobrze
co mówię. On ją kochał i ona jego kochała, ona go
kochała i on ją kochał, on ją kochał...

— I ona jego kochała, chciałem powiedzieć pewnie.
Cóż dalej? trzebaż przecie ruszyć z miejsca.

— Eh! bydlęta! co wy wiecie? Powiadam wam—
dobre miał upodobanie mój syn Julian. On—malarz,
ale... ja mu powiedziałem—co to ja jemu powiedzia-

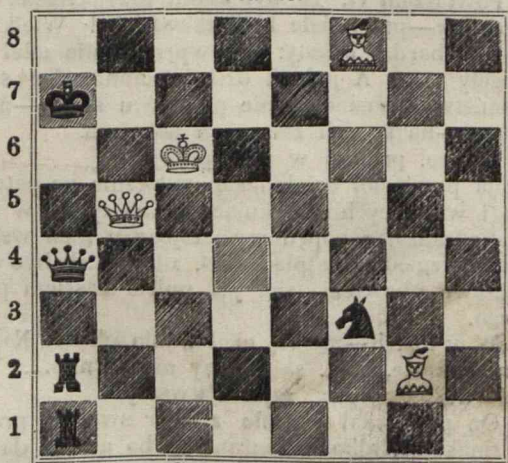
SZACHY.

(J. S. w Lublinie).

ZADANIE XCVIII.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym
posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 97.

Białe.

Czarne.

- | | |
|---------------------|-------------|
| 1) H3 — G3 † | 1) H4 — H2. |
| 2) G3 — F5 | 2) H2 — H4. |
| 3) F4 — F2 | 3) H4 — H2. |
| 4) F3 — E3 | 4) H2 — H4. |
| 5) E3 — F4 | 5) H3 — H2. |
| 6) F4 — G3 † i mat. | |

lem?—A!—tyś wielki artysta, bo się kochasz we wzo-
rach.

— We wzorach? co to znaczy? jak to śmiesznie!
Ha! ha! ha!

— Oczy miała—zaraz—usta—usta małe. Profil—
czysto grecki, mówię wam, jaki widzieć można tylko
na starożytnych posągach.



MIESZKAŃCY KOTORU I JEGO OKOLIC.

— Aha! bez nosów— w saskim ogrodzie—ha! ha!

— To jak ona wyglądała? jak?

Pan Ignacy, nie mówiąc, umaczał palec w sto-
jącej przed nim kwarcie z wódką, i wsparłszy gło-
wę na lewą rękę, prawą zrobił na stole kilka wpraw-
nych pociągnięć.

— To—czoło jej—to nos, mówił tłumacząc; co za
linie! Sam Rafael nie wyparłby się ich do obrazu
Madonny. A włosy...

— A jakie miała włosy? jakie? czy także wódczane?

— A czy? nie zrobiłaś oczu. Czy była ślepa?

Pan Ignacy opadł znowu w tył, żeby się po arty-
stycznemu z pewnej odległości przypatrzeć swojemu
dziełu; potem pijanym, głupowatym wzrokiem po-
wiódł po zgromadzeniu.

— Oczy mówicie? wybelkotał; nie zobaczycie wy
jej oczu, by—bydlęta, niewarte nawet półkwatka
gorzałki.

Uśmiechnął się, jakby uszczęśliwiony, że wynalazł
prawdziwą miarę wartości człowieka.

— Oczy mówicie, czyli raczej gad-gadacie. Porwa-
niście tam diabłu i jego pompie.

Westchnął i przymrużył lewe oko.

— Julian powiadał mi, że w jej oczach zobaczył
niebo.... On ją bardzo kocha dziś jeszcze i na wie-
wieki. Jej oczy? patrzcie ich! a bodajecie karki po-
kręcili pierwsi. Dam ja wam jej oczy!...

Przymknął powieki, i mówił jakby marząc:

— Biedny Ju-Julian! On tyle razy mówi sam o sobie:

Ach! ja ją tak na mar-martwym
Dobrze mówię: martwym—na martwym ubóstwiam

[obrazku,

Że gdy dobranoc dają przy księżycu blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustki,
Aż jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię...

A wy zwie-zwierzęta, chcecie widzieć jej oczy!?

I wyrzwał pięścią w stół, aż zagrzmiąło.

— Ot masz oko, rzekł jakiś dowcipnisz z opozycji,
robiąc palcem umaczanym w wódce olbrzymią kro-
plę między czołem i nosem wyrysowanej figury.

Pan Ignacy, nie zastanawiając się wiele, w przy-
stępie najsroższego oburzenia, porwał się z pięścią
do wysokości głowy pierwszego lepszego z siedzących
przy sobie. W oka mgnieniu towarzystwo całe po-
dzieliło się na dwa zastępy niezupełnie przyjazne;
ci przytrzymywali, inni zachęcali, byli i tacy co naprośnie
usiłowali poróżniać walczących. Przybiegła gospody-
ni, gospodarz, dziewczka, stróż
z podwórka,—ale już nie by-
ło po co, bo główna przyczy-
na zwady, pan Ignacy, leżał
pod ławą, chrapiąc w najlep-
sze, i niewiele dbając o to,
co się tam w tej chwili dzie-
ło na ławie, lub choćby
na stole. Obudziwszy się, śmia-
ło będzie mógł powiedzieć dla
poparcia swego mężstwa, że
go nietyle ludzie zmogli, co
spirytualne usposobienie.

Przyjaciele równie kieliszka
jak i spokojności publicznej,
wynosili się jedni za drugie-
mi, nie zapomniawszy powy-
próżniać niedopitych resztek.
Kilku z nich szło w jedną
stronę.

— Ha! ha! ha! to komedia
cała! mówił jeden z nich, wi-
docznie Galicyanin.

— Ale moi drodzy — po-
więdzcie tylko sami—zjadłby
tam hrabia mógł być przyja-
cielem jego syna?...

Mówiący to, z powodu nie-
pozbytą żądy powątpiewa-
nia, zdawał się zdradzać zdol-
ności matematyczne, był zaś
lampucem z teatru, w czem
poszedł wbrew swemu po-
wołaniu.

— Dlaczego nie? odparł
drugi; on sam mógł być kie-
dys hrabią. Czy to jednego
diabli wzięni.

— Widzicie, rzekł inny; on
był, gadają ludzie, professorem
rysowania w Kaliszu. A i ma
talent bestya, dalibóg. Jak jest
trzyżwy, to ci narysuję wszyst-
ko co chcesz: drzewo nie
drzewo, dom, rybę, nos, Wi-

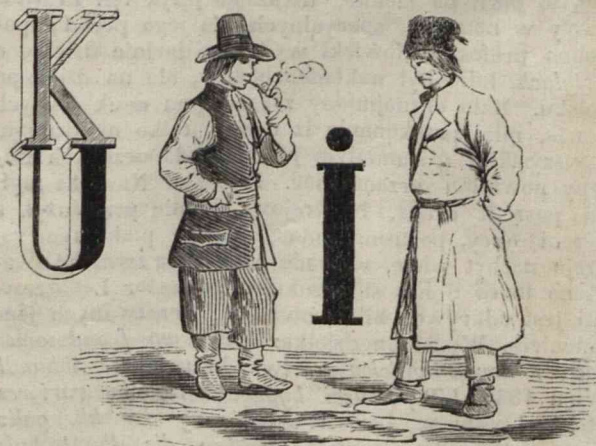
się, dorozkę—wszystko, het precz, jak się przynale-
ży. Nawet maluje. O! a szyl pod rybakiem, jak to
on zrobił—niech go diabli! To panie butelki wszyst-
kie stoją szeregiem, czworograniaste i kręcone, wła-
śnie jak te co na szynkwasio.

— Ba! ba! to człowiek piśmienny całą głębią. Umie
nawet po francuzku i po niemiecku.

— A jakże, i po łacinie. Wszak prawda, panie
Kalasanty?

(Ob. Dod.)

REBUS.



T

1, 2, 4, 8, 16, 32
1, 13, 5, 7, 9, 11, 8 bi

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 124.
W teraźniejszym czasie, zaledwie myśliwy spotyka się
się z turem na rycinie.

(Dodatek).

— No, już ciż umię—umię, odrzekł tenże stanow-
czo. *Syntaxis* i *ablativus absolutus*, i znowuż—*accusa-*
tivus cum infinitivo i *futurum periphrasticum*—trzebs
mu to przyznać.

— My—to się na tém znamy—nie od dzisiaj. A i to nawet, to nie wszystko jeszcze....

— O! a to, co on mówił—te wiersze niby—tażeto bajka Krasickiego.

Wszyscy przejęci byli zdumieniem. Nikt przecież tak żywo nie wziął tego do serca, jak wspomniany już wyżej Galicyanin. Jakoś w rejuwachu udało mu się powypijać czego nie dopili walczyk, a że i swego miał już dosyć, w skutek więc tego wszystko nad czem się zastanowił, wydawało mu się śmiesznem do upękania. Szedł tedy dalej, z przyjemnością opierając się na każdej rzeczy która mu się nawinęła pod rękę i rozważając sobie rozum pana Kalasandę. Zgadzał się on wprawdzie na to, że to co mówił pan Ignacy, istotnie wyglądało na bajkę, ale żadną miarą domyslić się nie mógł, co by to znaczył Krasicki, czy jak go tam wreszcie—do diabła....

Hrabia Artur i Kornelia.

(Dodatek do Nr. 125 Tyg. Ilustr.)

Dawno to już—Bóg wie jak dawno. Dnie świąt słonecznych, wiosna życia, dziedzictwo duszy, całe bogactwo zmarnowane niepowrotnie, przypadło w otchłaniach, przedzielających obecność od owych chwil niezapomnianych. A przecież wydaje się to być wczoraj—tak ciepłe powiewy wieją jeszcze ztamtąd, wrażenia tak świeżemi się być zdają, tak żywe barwy, światła tak wyraźne widzi jeszcze dusza. Niestety! niebrak tam i cieni.... Jakby nieublagane widmo ptaka złej wróżby, zadumane i milczące, siną chmurę swych skrzydeł zapuszczało nad niemi, żałobna osłona zapada na te dni jasne, że się robią łez pełne, żalu pełne, że się psuje od nich serce, że pamięć nie lubi być w nich z powrotem, raz ztamtąd odszedłszy...

Jest jeszcze promienisto i wesoło, jak bywa tylko w poranku wiosennym, jak bywa tylko w młodości. Młodym jest jeszcze Artur—i to młody duszą wraz z ciałem. Krew bije w żyłach, jak źródło u swego początku, bystro a czysto; serce śpieszy się i wydzierła naprzód; oko równie śmiało spogląda w niebo jak przed siebie. Młodemu orłęciu śpieszno do życia, do wrażeń, korci go wybiedz na świat, zdobyć go sobie przemocą, doznać wszystkiego, wszystkiem zawładnąć. Sięrota, od dni wczesnych zostawiony sobie, wśród zapasów z życiem, w chwilach wytchnienia, tęsknotą, marzeniami i upragnieniem kołysał sobie ducha; przeczuwał walkę i nie odpychał jej, jako godnego siebie zapaśnika, ale chętniej pociągало go użycie, jako tryumf już gotowy. Urodzenie dało mu dostatki, osierocenie zepchnęło go do nędzy. Ale co mu tam ubóstwo, przy skarbach serca! niech mu nawet będzie i złe na świecie, to zato wszystko zawdzięczy sobie. Majetny wuj, bezdzietny, stary skapiec, on nie da mu nic, on wiedzieć o nim nie chce, ho to dziecię siostry, która poszła za mąż niewiedzieć po jakimu, za hołysza, za parweniusza, galicyjskiego hrabiego, po dziadku ekonomie—ona, szlachcianka dobrego imienia, obywatelskie, posażne dziecię! On biedny—ale czyż się bywa biednym w siedmnastym roku życia? On sam jeden—ale czyż można nazwać samotnym tego, co ma choć jedno serce bijące dla siebie? A Julian i on—to przecież jedno serce, jedna dusza. Julian jest synem dawnego nauczyciela, mało ma, ale to co ma, jak najchętniej dzieli z tym, który ma mniej jeszcze.

Nocy jednej znikł młody malarz bez wieści. Artur jak mógł pocieszał kochankę swojego przyjaciela. Tak upływały dnie, tygodnie, miesiące wreszcie, i młody człowiek coraz więcej nabierał w tém upodobania. I było jak zwykle bywa, kiedy się to zazwyczaj od powiedzenia sobie: „obowiązek spełniać,“ a skończy się na mimowolném jego zgwałceniu, przez to właśnie, że był tylko pozorem cnoty. Bo—smutno to powiedzieć—ale marném jest tylko złudzeniem duszy, wierzyć w zasługę ze zbyt łatwej cnoty, lub z obowiązku do którego się ma pociąg. Do pierwszej potrzeba walki z ułomnością własną, drugi może być tylko ofiarą z wrodzonego egoizmu; w obu razach potrzeba oddać coś czy ustąpić, co nigdy, fizycznie biorąc, nie obywat się bez pewnej pracy, a praca, jak wiadomo, jest wygnaniem z raju ziemskiego. Było tedy, że Artur w domku sąsiednim stał się wkrótce niezbędnym—niby jego mieszkańcom, a właściwie sobie samemu—bo raz wzmówiwszy w siebie obowiązek, szedł dalej, mocno przekonany o wielkiej władzy nad sobą. Niema nic łatwiejszego, jak potknąć się na drodze, idąc o podobnie kruchym kiju podróżnym. Stary oficer mocno polubił Artura; on tak chętnie słuchał opowiadań jego o napoleońskich kampaniach—ten poczciwy, serdeczny chłopiec! Właściwie zdawało się tylko że on słuchał czegokolwiek, bo zwykle wtedy siadała naprzeciw niego, po drugiej stronie fotelu ojca, biała Kornelka, z robotką w rękę, rozstargniona.—Co ję tam Napoleon i cała jego wielka armia!—ona myślała o swoim Julianie. Z razu Artur nieustannie mówił ję o nim, tak iż ona słuchać tylko potrzebowała; stopniowo pozamieniali swoje role, i Artur także jakoś zmieniać się zaczął osobiście: ja-

kizbo bywa roztargniony, zamyślony, milczący, smutny! Pewnie tak mu tęskno bez Juliana. Ję się zdawało że cały świat posmutniał, od czasu jak go nie ma.

Tak rok upłynął...

Po roku odebrał Artur list od Juliana. „Mój dobry bracie,” zaczynało się to pismo. Artur zbudził się jak ze snu na te słowa; wydały mu się wyrzutem i oskarżeniem w obec własnego sumienia. A jednak czas jeszcze było wrócić się, zresztą—choćby tylko obrać inną drogę. Rozwagał i zastanawiał się, i tymczasem został w miejscu, i stało się z nim, jak z woznicą nieopatrzny, któryby, nie dosięgnawszy do wierzchołka stromego góry, zatrzymał konie dla odpoczynku chwilowego:—pociągnęła go przepaść i runął w nią z całą świadomością swego upadku, usiłując wmówić w siebie, że już nie mogło być inaczej. A przecież, wydostawszy się na wysokość, łatwiej ztamtąd opanować położenie miejsca, i równy jest stosunek pochyłości którą się ma przed sobą, do tej którą się zostawia w tyle, co nieprzyjaciela otwartego, do działającego w skrytości. Zresztą, dziwnie to, że najczęściej pociąga człowieka do upadku to, coby go właśnie zbawić było powinno; podobnie jak w naczyniu napelnionem aż po brzegi, z którego ująć chciano nadmiar, w obawie przelania, właśnie nie co innego przyspieszy ten wypadek, jak zacerpnienie mające zaradzić przeciw niemu. Nie byłoby może przyszło na upadek Arturowi, ale na nieszczęście Julian tak serdecznie w swoim liście zawierał sercu przyjaciela, tak mu polecał swoją narzeczoną, tak go pocieszał w jego osamotnieniu, tak pewną miał nadzieję wrócić za rok najdalej.... Słowa te pełne ufności, które Bóg podszepnął, a które anioł stróż próbował w porę jeszcze wprowadzić do duszy zapadającej na samolubstwo, szatan starał się zaprawić w połowie sztyderstwem, w połowie pokusą. I stało się istotnie niemałym pocieszeniem w osamotnieniu Artura, że przyjaciel jego nie wróci aż za rok może dopiero, i niemała też ulga jego sumieniu, że jeśli zdradzi, to nieledwie z wiedzą i wolą zdradzonego. Właściwie szło to stopniowo, zanim wreszcie, odpierane coraz słabiej, zdołało wzmóc się w siły. Niby ziele truciznowe, którego korzenie, z razu zaciśnięte w drobnym ziareczku, częścią za nie miane dla swęj małości, częścią podpielegnowywane, w roztargnieniu, potrafiło zwolna zapuścić szpony w sercu, że ich już nie wyrwać z niego, chyba z życiem razem. Z razu posłał w niem szatan pokusę tylko: gdyby też ona mogła być moją? Kieł z tego ziarna już był wrosły od spodu, i mówił przez pół pewno: ona będzie moją. Dalej krzewiło się w liście, i w łodygę, i w kwiat nareszcie, którego woń upajająca szeptała bez ustanku: ona musi, musi być moją. Aż kwiat ustąpił miejsca owocowi, będącemu już postanowieniem niezachwianem: ona musi być moją, *wprzód nim on wróci*. A ten on—to jego przyjaciel, brat jego serca; a ta ona—to narzeczoną jego przyjaciela—nie—to już wspólna ich dwóch kochanka; owoc ten—to grzyb jadowity....

W małym domku smutek i przerażenie. Julian nie wróci już nigdy. Nie miał odwagi sam cios zadać, i dlatego pisał tylko do swego przyjaciela, polecając mu pożegnać, na zawsze zapewne, starego oficera i biedną Kornelkę—on się z nimi zobaczyć nawet nie może! Kornelka płacze po nocach; różowa jej twarzyczka stała się bladą jak kwiat któremu słońce odjęto, serdeczna żalostliwość wyszła uśmiech z jej ust, łzy wypływały z jej oczu całą wesołość i swobodę dawną, z czoła uciekła pogoda. Mój Boże! nie mógłże Julian napisać do niej samą o wszystkim? mniejby ją było bolało! Ale zapewne nie mogło być inaczej, skoro on tak zrobił. I co tu począć dalej? Jak tu nie pójść za Julianem—jak tu odstąpić ojca? Stary wojskowy sposepniał i osowiał; po całych dniach siedzi tylko z głową spuszczoną, zamyślony i smutny; zapomniał nawet ulubionych swoich opowiadań. Piórunk uderzył w ukochane jego dziecko—to jakby w niego. Artur nie odstępował ich ani na chwilę, pociesza, cierpi wraz z nimi;—on tak kocha, tak żałuje tego biednego Juliana! Biedna Kornelka! Ona tak często staje w okienku; zdaje się jej, że on może lada chwila wyrzuci do niej z przeciwka; na każdy szelest niespodziewany, na każde drzwi skrzypnięcie, na każdy odgłos kroków męzkich, serce uderza jej w piersi tak silnie!—Ona jedna nie chce wierzyć swojemu nieszczęściu, ona jedna nie traci otuchy—może on wróci jeszcze? Artur pociesza, robi nadzieję, wywija się,—wszystko napróżno. Pocziwy Artur! Stary oficer pokochał go jak syna.... a sam coraz słabszy, coraz więcej cierpiący, coraz więcej zapada, co-

raz głębiej się zamyśla. Bo jemu czas już niezadługo, a wtedy, co się to stanie z jego ukochanym dzieckiem, sierotą biedną, Kornelką?... Artur kocha ją, już mu się z tem nieraz oświadczył.—Idź za niego, dziewczynko—nie wróci już twój Julian—próżno czekać—zapomnij! Artur nie ma dziś wiele, ale bogaty wuj, bezdzietny, stary i schorowany... toż on jedyny dziedzic po nim; zresztą, gdyby go i to chybiło, nie darmo pracować się nauczył, a ręce podające się w nieszczęściu, nie odmówi Bóg sił i błogosławieństwa. Przyjm ją—inaczej gdzie ty się podziejesz, sieroto, jeśli Opatrzność zechce wziąć ci ojca? Ha! zapewne to wola Boża w tych słowach starca... I Julian—żeby też napisał choć słowo!... A w głębi głosu jakiś szepce ję bezprzestannie:—on wróci—on wróci. A jak nie wróci?... pewnie nie wróci—powtarza ją jej coraz częściej.

Stary oficer z dniem każdym ma się coraz gorzej; potrzeba przyspieszyć dzień ślubu...

Nareszcie Kornelka została żoną Artura.

Biedna Kornelka! Któżby w niej poznał teraz ową jasną, uśmiechającą się, rożaną dziewczynkę z przeciwka? Już to dwa tygodnie po ślubie—dwa tygodnie dni smutnych, długich jak wieki, nocy dłuższych jeszcze, bo bezsennych, ale przynajmniej rozpogadzanych modlitwą, ulżywanych łzami. Dwa tygodnie wieków upłynionych—a ileż ich będzie nadal jeszcze!

Jest to dzień świąteczny. Ojciec siedzi w dużym krześle z poręczami, schylił głowę i duma. Ona z roztargnieniem patrzy w okno, na ogródek. Słońce świeci się tak wesoło! tak niebiesko, tak złotawo, tak uśmiechając wszędzie gdzie nie spojrzysz oko!—jedyne tylko jednej niewesoło wcale. A jednak siedzi przy niej Artur, dłoń jej trzyma w swojej, wzrokiem tonie w jej twarzy.—On taki pocziwy, ten dobry Artur! uprzedza wszystkie jej życzenia, myśli zgaduje w lot, nieba radby jej przychylić,—byle tylko wybić z jej głowy tego biednego Juliana. Naraz drzwi otwierają się z pośpiechem... ha! Julian!... Kornelka drgnęła, obejrzała się, wstała i padła zemdlona w jednej i tej samej chwili.—O!—bo ona niema już prawa rzucić mu się na szyję! Stary wojskowy, jakby się ocknął, zerwał się, wyciągnął ręce, wstał i postąpił parę kroków—on, co już od lat siedmiu miał nogi sparaliżowane! Julian podszedł ku niemu, ale wyciągnięte ręce starca nie objęły go, jak się na to zaniósł, tylko wciąż trzymały się w tem samem położeniu, poziomo, sztywno, nieruchomie; dotknął dłoni—dłoń była zimna jak kamień; rzucił mu się na piersi—serce już w niej nie biło, zastępte oczy, wysadzone na wierzch, szklisko poglądały w jednym kierunku; twarz zachowała rumieniec wywołany wzruszeniem, usta pozostały rozwarte, jakby mając lada chwila wymówić wyrazy, które pomyślił duch ulatujący, tylko że opuszczonemu zagnęła ciału nie stało już siły przybrać je w dźwięki...

Okropnie! okropnie!...

Wzdrygnął się Artur—hrabia Artur—on, będący w tej chwili zdaleka już od tego wszystkiego; on całkiem inny już jak wtedy—lepiej, czy gorzej? sam nie wie. Zastało mu się w sercu, odrętwiało w głowie—niby wszystko co pomyśli dalej, staje się tylko jednym z promieni tego wspólnego ogniska, owego wrażenia strasznego; niby z każdą chwilą wyjdzie, zawsze, jak do bieguna magnesu, tam tylko a nie gdzie indziej zająć musi.

W pokoju ciemno już oddawna, a jeszcze tam, ponad szczyty kościoła, po przez wieże, wskrós dzwonic, widnieje szara chmur opona, niewiadomo: blaskami zachodu, czy też światłem księżyca? Kilka wron opóźnionych, kracząc gderliwie, zwija się ponad dachami, zanim trafią do gniazd na nocleg; a deszcz drobny, wytrwały, z jękiem roztrąca się po rynnach, pryska na szyby i cichutko spływa po nich smugami łez, goniących jedną drugą. Zamigotało na gładkiej mozaice ściany, wreszcie błysnęło, i naraz cały rysunek okna w przedłużony sposób odbił się światłem na stropie pokoju. Co to takiego? To latarnik zapalił gaz, i poszedł dalej, i w miarę jak postępował zapalając, coraz więcej przybywało i cieni okna w odbiciu na stropie. A ile to ich jest teraz! Coraz słabsze, coraz dłuższe, wreszcie łamią się po kątach, tracąc kształty aż do niepoznania. I człowiek co wywołuje te dziwy po drodze, nie wie o nich, i idzie dalej po błocie, przemokły, opływający wilgocią, i ma jeszcze niemało latarni do zapalenia, a do domu daleko zapewne. I jak też on wygląda? pewnie zły i smutny, może nawet obdarty, ale tak poważnie, z taką godnością nosi przed sobą ową krytą lampkę na kij, tak zreźnie otwiera ją i zapala najbardziej nawet utajone w cieniu latarni, że

przypatrując się temu, nie jeden szewczyk, posłany po piwo, uważa go za wielkiego człowieka, i ślubuje sobie mocno uciec od majstra przy pierwszej sposobności, żeby choć na dni parę przystać do zapalacza. I prawda, że człowiek ten biedny jest kwaśnego humoru, z powodu niepogody, ale też skoro raz już przyjdzie do domu, zrobił wszystko co do niego należało: osuszył odzienię przy wesołym ogniu, zje smaczno wieczerzę, a potem zaśnie smaczno, i przysni mu się raj ziemski, w którym codziennie święto. Szczęśliwy człowiek! W niedzielę spotkał się z przyjacielem, którego nie widział oddawna; znalazł go wprawdzie obdartym, ale też on nigdy inszym nie był; przywitani się serdecznie, ale bo też nie sobie wzajem nie są winni. Wkrótce potem podochodził sobie z tym przyjacielem obdartym jak on; szli razem pod ręce się trzymając, a niewiadomo było który którego prowadził: a śpiewali tak głośno, że aż się obudzili stojący na warcie budnik, koło którego przechodzili—co za śmieszny wypadek! I za powrotem wyląwała go pewnie żona, więc nie bawiąc długo, poszedł przespąć się gdzie pod ławą, pełen przekonania że kobiety nigdy nie mają słuszności. Ale co się też z nim dziać mogło wtedy, kiedy jeszcze Julian...? Co za uparte wspomnienie! Od tego czasu tyle przepłynęło wody na Wiśle, tyle obłoków przeciągnęło w różne strony nieba—takie kształty, barwy takie dziwne, najrozmaitsze!—Czasem zasłona jak na niepogodę—mgły—perłowa tkanka roztopiająca krańce widoków, wsiąkająca przedmioty, lub obwijająca je w bawełnę—to znowu niebieskie lasy w oddali—okno facytki w czerwonych ogniach zachodu, kawałek nieba ponad głową, niby szmatka błękitna w rozdartej chmurze—i gwiazdka—gwiazdka—czy też płomyk gazowy—odbity na mozaice—przechadzający się po drobnym deszczu—przy katarynce...

Rzeczy te bez związku, myśli sobie hrabia Artur, myśli, albo raczej marzy nie do rzeczy—otrętwiał i utonął w sobie, choć niby nie śpi. I jak w ścierpieniu piasek niby, żwir niby ostry przesypuje się po żyłach, tak jemu zmąciło się w głowie i zastało; myśl nie płynie już prosto jakby powinna, ale rada zawadza się o przeszkody, szuka ich nawet, i znalazłszy, rozdziera się na kolcach, lub chcąc je ominąć, błądzi na bok, obchodzi sama siebie i zapomina z kąd wyszła. Ale wkrótce opamięta się ona, bo oto dźwięki dochodzące z sąsiedniego pokoju, obierają z niej zwolna co jest naleciałego i prostują drogę jej przed nią, żeby była więcej świadoma siebie. Marzącemu wydaje się to być marzeniem jeszcze, a przecież czuje, że go to już nastraja do zgody z rzeczywistością, że się zbudzić musi, choćby i nie chciał. Jestto żalobny pochód Szopena—któż go nie zna? Przeciagają w oddali zamysłone postacie tych, których już niema, a każdy znajdzie tam swoich; i niepokoi się dzwon—a bicie jego serca to wiatr odnosi, to zbliża; i niby zarazem noc cicha, pełna woni, po roście—wstający księżyc objaśnia krzyże na mogiłach, spadające gwiazdy spływają z obłoków, błędne ogniki przechadzają się po piolunach. I więcej pociechy tam, jak smutku, więcej obcowania ze zmarłymi, niż bezsilnego tylko żalu po nich,—niby słuchając tej pieśni, więcej się czujemy zmarłymi wśród zmarłych, niż żyjącymi dzisiaj pośród żyjących niegdyś; więcej nawsze już z nimi, niż chwilowo między przywołanymi na chwilę. Tylko ręka, która teraz właśnie budzi te dźwięki, nadaje im wyraz smutniejszy jeszcze, jeśli być może, od smutku samego...

Młoda kobieta siedząca przy fortepianie jest blada bardzo, ale nie marmurowo, tylko pięknie jakoś, uroczo, przezroczyście blada; i przy blasku jedynej lampy która objaśnia pokój, iskrzą się łzy powieszane na rzęsach jej oczu, spływające na lica. A jednak z gładkiego, pogodnego jej czoła, z ust mających wyrazić niewymowną słodycz, aniby się domyśleć podobna łez tych, tak dalece boleść nie jest w charakterze rysów tej twarzy, czy też tak kunsztownie nauczono ją nie wyrażać jak tylko spokój wewnętrzny. Ale, jakibądź jest powód tego, nie dowodzą przecież, czego nikt na świecie dokazać nie jest w stanie, żeby oczy nie były zwierciadłem duszy. Oczy te, duże, lekko podsiniałe, mają wyraz mocnego zmęczenia, który, przy ogólnej harmonii spokoju, stanowi smutne jakieś, przykre sercu przeciwieństwo. I kąty ich ku skroniom stężone i pościągane i jakby spopielałe zarazem, a te co obrócone ku sobie, nabiegłe żyłkami krwawymi; a powieka namarszczona poprzecznie, niby utrudzona zbyt ciężkim używaniem. I blask tych oczu ma zmierzch jakiś niewytłumaczony, jakieś szklivo przyćmione, a źrenicę wyraźnie w łzach kapano, bo znacznie ona wypłukana z nieba, które niegdyś musiało mieć błękit pełen życia.

Już czas jakiś stał hrabia Artur, z rozpaczą wpatrując się w młodą kobietę, z rozdartym sercem słuchając jej grania. Nie można powiedzieć żeby płakał, lub choć łzy miał w oczach; a przecież rysy twarzy jego, skrzywione nerwowo, przebiegało drżenie jakiegoś smutnego dla oka, podobne do wpływu strumienia galwanicznego, usiłującego nadać życie, choć nie posiada w swoich środkach jak tylko jego pozory. I patrzył on suchym, szklistym okiem, rozpalonym gorączką, w te blade lica, widocznie ukochane bardzo—tylko w tym spojrzeniu było czułości,—i drżały mu blade usta, jakby coś mówić chciał; ale tak dużo było udręczenia w jego sercu, tyle najsprzeczniejszych wrażeń walczyło w jego duszy, że niewiadomo co wyrażniej wypowiadało boleść: suchy wzrok tego człowieka, czy łzy kobiety?...

A ona grała, coraz smutniej, coraz wymowniej, nie wiedząc że ma świadka...

Drżały jej ręce, i łzy goniły się po licach—ona grała. Zdawało się że nową jakąś duszę wlewa w te dźwięki tyle znane, że one są te same, tylko że jej własnego utworu, albo że tylko te a nie inne mogły wypowiedzieć co ona czuła. Kiedy skończyła, czas jakiś została tak nieporuszona i milcząca, że opadłymi rękoma, potem zasłoniła sobie twarz chustką, i słysząc było łkanie jej wśród ciszy, z której już uleciały dźwięki...

Naraz, jakby uczuwszy siłę wzroku utkwionego w nią w sposób magnetyczny, drgnęła, spojrzała, i w oka mgnieniu połączyła łzy i stała się spokojną.

Artur stał nieruchomy, zbladły, ze spuszczonej oczyma,—ona podeszła ku niemu z czułością.

— Co ci jest Arturze? bładysz, rzekła podając mu rękę.

Wziął ją, uściśnął konwulsyjnie i do ust zbliżył, ale nie doniosłszy, puścił przesyty dreszczem, jakby mu się nie godziło złożyć na niej pocałunku.

Kobieta uczuła ten dreszcz, zadrżała także, i zbierając przytomność:

— Wychodziłeś z domu, rzekła nieśmiało.

— Nie spodziewałaś się mego powrotu—wszak prawda?

— Wszedłeś bez szelestu...

Artur niespokojnie przeszedł się kilka razy.

— Kornelio, odezwał się wreszcie głucho, zatrzymując się przy niej i topiąc w niej spojrzenie pełne boleści; jam wielki nędznik, dotykany co chwila palcem Boga karzącego. Tyś mi przebaczyła—ale kiedy zapomnisz?...

— Co chcesz powiedzieć?...

Potań sobie czoło zroszone zimnym potem, i odetchnąwszy z trudnością, powiódł w około wzrok zamglony.

— Tak mi w głowie mętno! Al! wspomnienie jest to mściciel nieznający snu ani święta. A jednak nazywa się życiem, przebywać pewne warunki jawy w danym czasie. Bo jawą jest koniecznie to tylko, co się nie śni, co jest,—i dopiero spokój duszy jest snem dobroczynnym, a biada temu kto go nie zna! Ja cierpię bezsenność nieustającą, jam godzin politowania. O! mów, aniele pomsty Bożej!—Wszak lata nie są nawet chwilami w oczekiwaniu wieczności—wszak niedosyć odważnie iść naprzód, trzeba też mieć Boga obok siebie!—Mów—mów—skarż się głośno—milczenie twoje stokroć ciężiej mię obarczy, niż najmowniejsze wyrzuty, bo mi będzie jakby wsłuchiwałem się w odpowiedź z po za grobu.—Mów, choćby rzeczy pełne rozpacz—nie powiesz nic, czego bym bez ustanku nie słyszał w głębi mojej duszy...

Młoda kobieta milczała. Napozór spokojna, z ręką wspartą na fortepianie, chwiała się tylko niedostrzeżenie, walcząc ze wzruszeniem, którego zdradzić nie chciała. I spokojność ta udana zdawała się kosztować ją niewiele, tak dalece widać nawykła już rozkazywać sobie.

— Dlaczego mówisz mi to wszystko?... wyszeptala wreszcie z cicha.

— O! nie zwiedzie mnie twoja spokojność, mówił dalej Artur z goryczą. Wszedłszy, zastałem cię taką, jaką bywasz jedynie kiedyś tylko z Bogiem i z sobą,—płakałaś łzami padającymi na serce, wydierały się jęki z pod palców twoich. Próżno usiłujesz zatrząść to wrażenie, próżno mię odwieść z miejsca upadku, na które corocznie pamięć naprowadza mię musi.—Dzień dzisiejszy jest koniecznie dniem kary—bo to rocznica śmierci twego ojca...

Kobieta drgnęła, i rzuciła mu się na szyję z głuchym jękiem.

— Milcz—milcz, przez Boga! Com ci zrobiła, że to wspominasz?...

Odetchnęła głęboko.

— A jednak—nie pamiętałam o tym—wierz mi. Zastałem cię smutną—to prawda—ale sama nie wiem czemu. W osamotnieniu tak łatwo o myśli pochmurne, o kilka łez bez powodu...

— Kornelio! Kornelio! ty kłamiesz pociechę i zapomnienie.—Strzeż się żebyś nie była zmuszona do rachunku z sił swoich. Powiedz mi żeś przebaczyła—uwierzę temu, inaczej musiałbym się wyrzec wiary we wszystko; ale nie mów mi żeś zapomniała, bo to rzecz nie życia doczesnego. Cierpienie jest pracą duszy. I cierpi człowiek dla pociechy w przyszłości, jak się pracuje dla zapłaty... Ale ja życie zaczął od nagrody, jam sobie zapłacił z góry, i dlatego dziś cierpieć muszę; bom jest jakbym szedł od celu, zamiast do niego, jakbym zamiast wiedzieć drogę w którą iść, wiedział tylko że iść mam, i nic więcej. Kochałem cię nad wszelkie względy, nad siły duszy, nad przyszłość. I według ludzi, miłość podobna prowadzi do oczyszczenia tylko.—Czemuż mnie doprowadziła do zbrodni? Kornelio! ty mię nie przeklinasz, bo umiesz modlić się tylko; nie pogardzasz mną, bo tylko kochać umiesz; nie odpychasz mię, boś litościwa. Ale tam, po za życiem, po za ziemią, po za czasem,—czy będzie mi to przebaczone kiedy?...

— Będzie, o! będzie—wierz temu, wyrzekła łkając. Tyle życia przemodliłam na to, tyle łez przepłynęło rwistym pędem po tej przedwczesnej jesieni, że godzi się wyglądać wreszcie nieba pogodnego, choć zmrok zapadać się zdaje. A i żal szczery—jakże potrzebna to modlitwa...

Żal poniewczasie!... I jestże żal, któryby wrócił to, co sam Bóg odepchnął w przeszłość karzącą prawicą?—jestże taki, coby oddał nazad wydarte szczęście, połączył rozerwane serca?... Jedna śmierć chyba...

Młoda kobieta padła na kolana i zaniosła się od płaczu.

— Boże mój! Boże! racz go pocieszyć, bo ja już nie mogę.

Przez chwilę trwało milczenie. Artur chodził i dumał. Jak tu wyjść z tego położenia? gdzie tu środek pogodzenia się jeszcze z życiem? To znówu: jak się tu pozbyć życia, które się stało nieznośnym i niepodobnym, i jak zrobić, żeby się to poświęcenie zdało na coś?... I było temu człowiekowi, jakby już miał mieć słusność po sobie, jakby już trafił na wyjście,—to znówu zapadał w zwątpienie, i myślał że cobądź pocnie, złe będzie.

Kornelia wstała tymczasem i siadła drżąc, zasłoniwszy sobie twarz rękami. I co myślała—któż zgadnie? Usta jej szeptały słowa modlitwy, pierś zdradzała pośpiech serca. Zresztą zdawała się przychodzić do siebie—przynajmniej widać było że usiłowała wymócić to na swoich siłach, jakby zachowując je na większą jeszcze potrzebę. I patrząc na to, niepodobna było nie uwieścić tej słabej, kruchej istoty, mocującej się z taką pewnością siebie, dobywającej z siebie więcej nieledwie niż możność.

Artur zatrzymał się, wpatrzył się w nią przez chwilę, i stało się, co się stać musiało, co zapewne bywało zawsze: pociągnęła go za sobą, uległ jej wpływowi, stał się spokojniejszym, lub przynajmniej nie-tyle samotnym co wprzód.

— Kornelio—szepnął z cicha, i łzy słysząc było w jego głosie; Kornelio moja—wierzysz temu że ja cię kocham? Mój Boże! nie było węża tak świętego, którego bym nie zerwał; nie było nędzy tak plugawej, na którą bym nie zszedł bez wahania; ani ceny tak lichiej, za którą bym nie zaprzedał duszy—byle cię zdobyć...

Pomyślał chwilę, i naraz, jakby uderzony jej milczeniem:

— Szalony! szalony! zawołał uderzając się w czoło; toż raczej potępienie w tym dla mnie, niż zasług! Bo i nacóż się zdało poświęcać wiele, za wszystko? Wymiana podobna jest koniecznie kupiectwem tylko przebraniem za cnotę, miłość podobna—zaprzeczeniem sobie samemu. I gorzej stokroć, bom poświęcił to co mi było wszystkiem, za niewiele—za wymuszoną miłość twoją, ciebie samą. I cóż mi pozostanie teraz, jeślibym zrobił obrachunek z sobą? Jeślibym z tego, co z mojej przyczyny przepadło w łzach i zasnęło śmiercią, potrącił to, coby pójść mogło na moje usprawiedliwienie, lub com się starał ująć z siebie na naprawę złego? Niestety! niestety! nawet miłosierdziu niebieskiemu człowiek własnymi siłami dopomagać musi, i wola Boga samego nie jest dość mocną, że-

by przeważać szalę na stronę tego, kto założył sobie cel życia w staraniu się o przekleństwo!...

Kiedy to mówił, młoda kobieta patrzyła w niego milcząca i bez ruchu; dwie łzy zawisłe na jej policzkach, błyszczały jak krople rosy niebieskiej, która nie zdążyła jeszcze ocieknąć z liścia po burzy; zdawało się tylko, przez chwilę jak mgnienie niedługą, że przeleciało po jej ustach, czy też tylko wyjrzało ze zrenic, uśmiech gorzki, pełen bólu, który mówić się zdawał: i na cóż się zdały te próżne, niewczesne słowa?—Ale musiało to być tylko złudzenie wzroku, nie więcej, bo zaraz potem wstała pełna spokoju i uśmiechająca się pociechą.

— Uspokój się, uspokój, mój biedny, rzekła, biorąc męża za rękę. Mój Boże! tyle razy mogłam coś u ciebie, a dziś tak trudno mi uprosić cośkolwiek! Cobądźbym powiedziała, wszystko się przeciw mnie obrócić musi.

Podprowadziła go do ściany, na której wisiał obraz dziewczynki w koszulce, uśmiechającej się i różowej jak poranek.

— Ten wspólny nasz aniołek, dziecina nasza wzięta do nieba, niech mówi za mnie. W nim wiecznie spotykać się nam z sobą; patrzy on na nas w tej chwili, i dziwno mu wszystko co słyszy z ust ojca. Zanic-że modlitwy jego za nas przed obliczem Pańskim? zanic-że uśmiech jego pełen niebieskiej otuchy?

— Prawda, rzekł Artur ponuro, nie śmieć podnieść oczu, było jeszcze warto żyć wtedy, kiedy ten węzeł nas łączył...

Kornelia drgnęła, i przeleciał kurcz po jej twarzy, jakby od ugodzenia w serce.

— Nie mów tego, rzekła drżącym głosem, kładąc mu dłoń na usta, nie zasłużyłam na to. Arturze, Arturze, dodała tuląc się do niego bez tchu w pierś, my jeszcze możemy być szczęśliwi...

Szczęśliwi! Słowo to obilo się o gładkie, błyszczące, zimne ściany pokoju, i nie wróciło zjadł wyszło. Wyraz ten zdawał się nie mieć już duszy. I wyraźnie dźwiękiem tym zatrzęsnać się musiały drzwi grobu po za temi, którzy już poszli, żeby nie wrócić...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Stanisław z Proszowic bernardyn,

zwany także Rafałem.

(1454—1534 r.).

Za panowania Kazimira Jagiellończyka, r. 1454, ubogim lecz pobożnym mieszczanom, z professy garnarskiej, w Proszowicach, urodził się syn, na chrzcie świętym nazwany Stanisławem. Po skończeniu lat dziesięciu do Krakowa na naukę był posłany, gdzie uczęszczał do szkoły katedralnej, potem do akademii, i w szesnastym roku życia (1470) otrzymał naukowy stopień doktora filozofii. Ostatni zaszczyt, zdaje się, otrzymał jako zakonnik, gdyż żywociarze jego zapewniali, że umarł w osmdziesiątym roku życia, przebywszy w zakonie lat sześćdziesiąt i pięć.

Do zakonu braci mniejszych *de observantia*, niedawno sprowadzonego do Polski, wstąpił za radą Świętosława (1), masyonarza kościoła Panny Maryi w Krakowie, przyjął imię Rafała i odtąd pod ostatnim tym imieniem powszechniej stał się znanym.

W nowicyacie był rok pod magistrem Szymonem z Lipnicy (2), poczem wykonał śluby zakonne, a przeszedłszy mniejsze i większe stopnie święceń, przyjął sakrament kapłaństwa. Czas niejaki był kaznodzieją, znów gwardyanem w Krakowie; wreszcie, już za Zygmunta I, przeniesiony został na gwardyaństwo do Wilna.

(1) Błogosławiony Świętosław ze Sławkowa pod Krakowem, zwany też Silencyusz, był synem ubogich lecz pobożnych i pobożnych rodziców. Za ich życia ćwiczył się w naukach, po śmierci zaś rodziców oddany do rzemiosła, był szewcem. Za radą ojca Wincentego dominikana, wszystką majątność sprzedał i ubogim rozdał—sam wszedłszy do stanu duchownego, był masyonarzem przy kościele Panny Maryi w Krakowie; szczupłą pensją pracą rąk powiększał, aby mieć więcej dla ubogich i dla przyozdobienia kościołów. Oprócz błogosławionego Rafała (czyli Stanisława), przestawał z współczesnymi sobie, a uznanymi za błogosławionych: z Janem Kantym, Michałem Gedrojcem, Stanisławem Kaźmierzkiem, Szymonem z Lipnicy, Izajaszem Bonerem. Umarł 1489 roku, pochowany w chorze kościoła Panny Maryi.

(2) Szymon z Lipnicy (miasta o siedm mil od Krakowa w obwodzie bocheńskim), z szlachetnych a ubogich rodziców zrodzony. W akademii krakowskiej zyskał stopień doktora filozofii. Wstąpił do zakonu oo. bernardynów. Przez Rzym odprawił pobożną i apostolską pielgrzymkę na Wschód i odwiedził Jerozolimę i Betleem. Umarł 1482 roku 15 lipca, pochowany u oo. bernardynów na Stradomiu.

W tym czasie oo. bernardyni, konwentu kowieńskiego, zależący od gwardyaństwa w Wilnie, wzbudzili się i wypowiedzieli Rafałowi posłuszeństwo, jako kustoszowi i gwardyanowi wileńskiemu. Zygmunt I napomniawszy spokojnych i wezwał ich do przynależnego posłuszeństwa, póki nie zjechał umysłny delegat, dla rozpoznania sporu. W końcu zagroził wygnaniem z wielkiego księstwa litewskiego, gdyby postępowanie zakonników sprzeciwiło się jego zaleceniu i woli. Nie wiem jak się ten zatarg skończył; wspominałem go ze względu na stanowisko Rafała.

Potem po dwakroć obrano go wikaryuszem prowincji; w końcu prowincyałem. Lecz na kapitule krakowskiej (w roku 1517) prowincyałstwo złożył; mimo to w roku 1532, zaszedł w sędziwe lata, na kapitule radomskiej powtórnie na tę godność powołano.

Nakoniec, zachorowawszy w Kaliszu, kazał się przewieźć do Warty, i dnia 26 stycznia, w dzień nawrócenia św. Pawła, 1634 roku umarł.

Zwłoki jego w drewnianej trumnie pochowano przed stopniami wielkiego ołtarza i przykryto kamieniem, z napisem łacińskim:

„Tu leży mąż wybrany, Rafał z Proszowic, ozdoba i zaszczyt braci, którego Bóg ozdobił wieloma darami; więc go zacnym i świętym oznajmuje w cudownych znakach. Umarł w Warnie, w dzień nawrócenia św. Pawła, roku Pańskiego 1534.“

Nieustannie ćwiczący się w naukach, później, w potrzebnych dla jego stanu zakonnych cnotach, zyskał powszechny szacunek i uwielbienie pocziwych, a był postrachem dla zbaczających z drogi powinności. Sam Zygmunt I zasięgał rady Rafała, lubił z nim rozmawiać, a modlitwom jego państwo i samego siebie polecał.

Był zwyczaj po wszystkie czasy, że pokorni w wie-rze, mało ufając własnej pobożności, uwielbionych powszechnym uznaniem świętobliwych ludzi, łagali o przyczynienie się do Boga, w odprawianych nabożeństwach i modlitwach, a osobliwie, gdy przeciwności, dolegliwości lub nadzwyczajne nieszcześcia, trapiły chwile ziemskiej ich pielgrzymki. Pomysłny skutek instancji i przyczynców, sprawiał uznanie większej nad nimi łaski Wszechmocnego, z czego potem wyrobiło się pojęcie cudotwórstwa. Widoczna rzecz, że egzaltacya nieszcześliwych, pocieszona ublaganym skutkiem, potęgowała uwielbienie pośredników pomiędzy strapieniami a Bogiem. Ludzkość nie nie traciła, a zyskiwała pobożność; a że nadużycie lub niewiara zatępiły urok cudowności i wartość doznanych łask, to jedynie jest winą społeczności.

Stanisław, a raczej już Rafał, szanowany i uwielbiony za życia, często był proszony o przyczynstwo w modlitwach do Najwyższego Stwórcy, a po śmierci pamięć jego zacnej pobożności i świętobliwego życia tak stała się trwałą i wydatną, że nieszcześliwi i utrapieni najrozmaitszemi dolegliwościami, już znikłego ze sceny ziemskiego zawodu, wzywali w modlitewnym rozręczeniu, aby wstawiał się za nimi do Boga, — wierząc że zacność, uświęcona przykładnym życiem i powszechnym uznaniem, trwa wiekowiec w pozagrobowej światłości. Zyskana pociecha, utworzyła szereg zaświadczeń doznanych łask i cudów. Dlatego potem, stosownie do religijnych zwyczajów, zaczęto robić starania o urzędowe uznanie cudotwórczości Rafała i o wliczenie go między zaszczyty bojującego kościoła. Wobec w roku 1626 prowincyał oo. bernardynów, Godziszewski Jerzy, prosił księdza Piotra Grochowieckiego, archidjakona gnieźnieńskiego, a wówczas, po śmierci arcybiskupa Henryka Firleja, administratora archidiecezji, o pozwolenie przeniesienia z uroczystą czcią zwłok Rafała na właściwsze miejsce; lecz niewiadomo dlaczego, te starania pozostały bez skutku. Potem ponowiono prośbę do następcy Firleja, Jana Węzyka, który uznając potrzebę napływających do grobu Rafała pobożnych pielgrzymów, polecił pod datą 11 kwietnia 1632 roku księdzu Baltazarowi Karczowiczowi, dziekanowi i proboszczowi w Warnie, spisanie doznanych łask i cudów. Mimo to upragniona transhumacya i sublewacya nie została dokonana. Roku 1638 umarł arcybiskup Węzyk; błagali więc o nią zakonnicy ks. Szymona Kołudzkiego, prałata gnieźnieńskiego i administratora archidiecezji, i zyskali już pozwolenie. Lecz dopiero gdy szlachta województwa sieradzkiego, zebrana na sejmik w Szadku (1639), wyprawiła uroczyste poselstwo do nowo wyniesionego na prymacyalną godność księdza Jana z Lipia Lipskiego, herbu Łada, takowe przeniesienie dopełnione zostało.

Uroczystość transhumacyi i sublewacyi, stała się pamiętną dla zakonnego zgromadzenia oo. bernardy-

nów, dla mieszkańców miasta Warty i dla całej okolicy. Arcybiskup ksiądz Lipski, naznaczył dwudziestą i czwartą niedzielę po świątkach, czyli dzień jedenasty listopada, poświęcony świętemu Marcinowi, biskupowi turońskiemu (*Tours*). W wigilię więc dnia tego, przed wieczorem, świeckie duchowieństwo wraz z zakonem, od przełożonych klasztorów powołanem w wielkiej liczbie, z zapalonemi świecami, wyszło po za miasto, naprzeciwko arcybiskupa, i niepospolitą łacińską mową go powitało, na którą odpowiedziawszy, uroczystość do kościoła oo. bernardynów, gdzie Rafał (Stanisław) spoczywa, udał się. Tam, po oddaniu czci Najświętszemu sakramentowi i przemowie jakiegoś teologa jezuity, od wielkiego napływu ludu wysłuchanej, przystąpił do upragnionego i wyczekiwanego dzieła. Wezwawszy Ducha świętego, kazał odstawić świece i zdjąć okrywającą grób zasłonę, poczem krótki, starożytny napis położony na kamieniu odczytał. Wówczas grób otworzono, po parogodzinym trudzie odkopano twardą ziemię, a sam arcybiskup, pontyfikalnie ubrany, wraz z prowincyałem zakonu i innymi kapłanami, wydobyl trumnę, a gdy obwiązana mocno sznurami, włożono do przygotowanej drewnianej nowiej, opieczętował. W takim stanie prochy Stanisława, czyli Rafała, po stu i siedmiu latach spoczynku wzruszone, stały przez noc, na środku otwartego dla całej publiczności kościoła, rozjaśnionego rześkim światłem, przy muzyce i śpiewach. Nazajutrz, w chórze mniejszym, wśród świec zapalonych i wotów, zawieszono pięknego pędzla wizerunek Stanisława (Rafała), ze stosownym napisem, przyniesiony przez arcybiskupa.

Potem przeniesiono trumnę do klasztornej refektarza, zdjęto pieczęcie i otworzono ją w obecności licznych i dostojnych świadków. Znalezione więc na prochach nieboszczyka habit po stu latach nowy, jakby przed parą miesiącami włożony w ziemię, nogi bosc, a pasek w proch obrócony. Włożono te śmiertelne reszty do nowej trumny, i przy odgłosie muzyki, wniesiono uroczystość do kościoła. Całej tej religijnej czynności towarzyszyli prałaci katedralni, duchowni niższych stopni, senatorowie rzeczypospolitej, stan rycerski z województwa sieradzkiego i z województw ościennych, magistrat miasta Proszowic, zakonnicy bernardynscy z całej prowincji i wielka mnogość mieszczan i kmieci.

Potem arcybiskup odprawił nabożeństwo, a ksiądz Fryderyk Szembek, jezuita, miał stosowne do okoliczności kazanie.

Po południu, że kościół nie mógł objąć licznie zebranych tłumów, processjonalnie obniesiono po mieście trumnę, co różnowiercy zwali manifestacją, a rynek, ulice, dachy domów, zapelnione były pobożnymi widzami. Śmiertelne prochy garnarczowego syna, Stanisława z Proszowic, w zakonnym ubóstwie nazwanego Rafałem, dźwigali senatorowie rzeczypospolitej: wojewoda poznański Krzysztof z Buina Opaliński; Jan Szymon na Szczawinie Szczawiński z Ozorkowa, kasztelan brzeski, starosta łęczycki, później wojewoda brzesko-kujawski; Kacper z Lipia Lipski, chorąży sochaczewski, rodzony brat arcybiskupa, później kasztelan rawski; Wojciech (Albert) z wielkiego Chrzastowa Wierzbowski, kasztelan inowłodzki; Aleksander z Buina Opaliński starosta inowłodzki i Marcin Walewski, przy odgłosie trąb, kotłów i moździerzy.

Wówczas butna ich duma gęła się pobożnie pod świętym ciężarem prochów małego prostaczka, syna ojczyzny, co zacnym i pobożnym życiem przewyższył zasługi najzasłużeńszych przemożnych dostojników, a ręce ich, sprawowane w obywatelskim zawodzie, drżały w religijnym wzruszeniu i radości, bo czuli całą wartość drogocennych szczątków, podnoszonych w zaszczyty świętobliwych ozdób rzeczypospolitej Chrystusowej. Jeden z tych dygnitarzy, Lipski Aleksander, dwadzieścia lat wprzód, pod Cecorą, tą samą dłonią nadział spisą chrześcijańskiego wroga, Turczyka, i wiszącego w powietrzu przyniosł, by rzucić pod stopy Żółkiewskiego hetmana; drugi, Krzysztof Opaliński, kreślił satyrę, chcąc leczyć rany ojczyzny swojej. Dziś te dionie w pokornym, religijnym trudzie, przyjmowały jakoby bierzmowanie, utwierdzające popęd do nowych trudów w uprawianiu winnicy Pana.

Wstąpiono do miejscowego kościoła farnego świętego Mikołaja, gdzie znowu ksiądz Fryderyk Szembek miał stosowne do okoliczności kazanie; poczem processya wróciła do oo. bernardynów. Łatwo można pojąć uroczystość i okazałość odbytego obrzędu, gdy prawie cała rzeczypospolita, we wszystkich swych stanach reprezentowaną była, a zarazem poznaczona zmiennością losów, gdy pamięć dnia tego zaledwie skromną wotywą corocznie przy grobie Rafała czczoną bywa.

Zaniesiono tedy trumnę do refektarza; habit błogosławionego nieboszczyka oddano prowincyałowi oo.

bernardynów, części zaś kości Rafała czyli Stanisława, jako relikwie, rozdał arcybiskup przytomnym uroczystości dostojnikom. Potem podano mu trzy worki, z zielonej jedwabnej materii uszyte: w pierwszy z nich włożył czaszkę, w dwa drugie resztę prochów i kości, opieczętował i z opisem odbytej uroczystości złożył do umyślnie zrobionej cynowej trumny; poczem położono na niej napis:

„Błogosławionego Rafała z Proszowic, zakonu braci mniejszych *de observantia* kapłana, świętobliwością życia i cudami słynącego, szczątki święte od Jana z Lipia Lipskiego z ziemi wydobyte, trumienką tą obdarzone i w niej przez niegoż zamknięte. Roku od jego zejścia 107, od Narodzenia Chrystusowego 1640, dnia 11 listopada.“

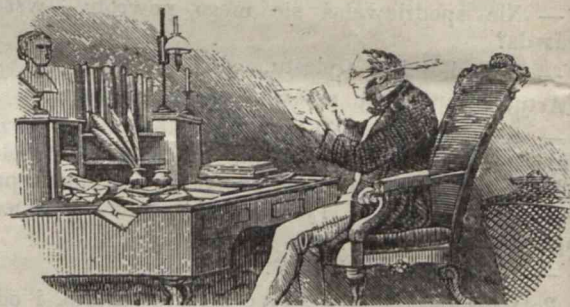
Poczem, w dwie godziny po zachodzie słońca, wniesiono szanowne prochy do kościoła; było znowu kazanie, a trumnę cynową włożono w marmurowy pomnik, który ciekawi dziś jeszcze oglądać megi.

W końcu arcybiskup odśpiewał *Te Deum laudamus*, wziął kielnię, rzucił wapna, a grób zamurowano i przykryto marmurową płytą, z wyobrażeniem błogosławionego nieboszczyka w leżącej postawie.

Tą uroczystością, oraz osobnym spisaniem aktem, arcybiskup Lipski Stanisława z Proszowic, a w zakonie Rafała, na mocy bulli Urbana VIII, (1623—1642 r.), do rzędu błogosławionych wyniósł (*superavit*).

Pisali o Stanisławie czyli Rafale z Proszowic: Piotr Hyacynt Pruszczy, ksiądz Stanisław Bużeński, ksiądz Fryderyk Szembek S. J., ksiądz Hieronim Lipczyński bernardyn, definitor prowincji wielkopolskiej, Jaroszewicz i inni. Ostatecznie zaś wyszła książeczka, napisana przez p. Adama Chodyńskiego, pod tytułem: *Żywot sługi Bożego, błogosławionego Rafała z Proszowic, napisał Adam Chodyński. Łęczyca, w drukarni Józefa Kuchcińskiego, 1861 in 8o.*

Ostatnia ta praca spowodowała powyższą wzmiankę o Stanisławie z Proszowic, aby ciekawi czytelnicy zachęci się do poznania obszerniejszego życiorysu ubo-giego garnarczcyka, a znakomitego dostojnika w szeregu uświętobliwionych naszych ziomeków.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincji lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarygodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

Z powodu artykułu p. A. L., obywatela okręgu pułtuskiego, p. n. „Kilka słów o wydawnictwie ludowem“, zamieszczonego w Nrze 123 naszego pisma, otrzymaliśmy od W. A. w Warszawie złp. 26 gr. 20, na wydawnictwo książek dla ludu. *Pani czy Pannie Olympii z Krasnostawskiego*. Kwilenia sieloty, co „z pięknym młodzieńcem w parze, idzie przed słubne ołtarze“, nikogo dziś nie wzrusza, chociażby z większą wypowiedziane były siłą.

Panu A. J. w K. Więrsz p. n. „Zima“ rymowany jest gładko; początek nawet zapowiada myśl głębszą, której jednak w dalszym ciągu i w zakończeniu doszukiwaliśmy się napróżno. Nie odrzucamy młodzieńczego (jak nam donosi) autora od dalszych prac poetyckich; ale radzimy mu to samo, co i wszystkim początkującym: niech długo jeszcze kształci się na wzorach wielkich naszych mistrzów, zanim ulegnie *nequęć pokusie* oddawania swych utworów do druku.

Zaskawemu korespondentowi, który radzi nam umieszczenie w Tygodniku życiorysu P. S., odpowiadamy, że nie mogąc tego uczynić w sposób wyczerpujący, wolimy rzecz odłożyć do chwili stosowniejszej.

Panu B. R. w Woli Prażmowskiej. W zadaniu szachowem N. 92 rzeczywiście zaszła pomyłka; lauffer czarny na polu B6 jest niepotrzebny, co zresztą łatwo wytłumaczyć sobie z rozwiązania. Prostować takich pomyłek wcześniej w innych pismach nie możemy; wśród licznych łowiemy zajęć redakcyi, która nie o samych szachach ma do myślenia, przechodząc one najczęściej niepostrzeżenie.

Panu Givandon z Pędzichowa. Z próżnego i Salomon nie należy, a na gołej skale nikt ananasów nie sadzi. *Daremu praca i koszt*. Zdaje się że i sąsiedzi pańscy wkrótce jednego z nami będą zdania.